



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POWINNOŚĆ.

(FANTAZJA).

Kto jesteś i z kąd przychodzisz do mnie? — ja nie wiem.

Wiem tylko, że w chwilach najcięższej boleści życia stajesz przedemną, jak szczytny posąg Anioła i, rękę podnosząc do góry, gdzie gwiazd miryady pałają, wołasz:

Excelsior!

Wiem tylko, że głos twój, acz taki surowy i poważny, dziwną napelnia piersi otuchą i nowe wlewa siły, i nową miłość rodzi.

Wiem tylko, że gdzie się ukazesz, tam duch znękany natychmiast podniesie się w górę potężny, czysty, świetlany i błysnie, jak słońce zza chmury porannej, jak nad głowami kłęzącego tłumu hostya święta.

Wiem tylko, że mieszkasz w piersiach dusz podniosłych, czystych, nieskalanych brudami życia, a często zboliałych i nieszczęśliwych.

Kto jesteś i z kąd przychodzisz do mnie?

Widzę wspaniałą, posagową postać twoją, oblaną tajemniczą jasnością, niby blaskiem księżyca, świecącego wśród czarem dyszących nocy majowych. Widzę twoje oblicze surowe, twe piersi marmurowo chłodne, a jednak tyle ognia kryjące w sobie. Korona z brylantów i promieni słonecznych nie okala twych skroni, ale natomiast nad tobą świeci gwiazda jasna, przewodnia gwiazda tych, którzy, we wszystko wiarę straciwszy, w ciebie wierzą jeszcze i w twoje chłodne po-

ważne oblicze wpatrzeni, idą na męki i śmierć. Przed tymi ty stajesz nieraz, jak widziadło boskie i nowe wskazujesz im drogi i głosem potężnym wołasz do życia napoły umarłych. I wstają na rozkaz twój, i z myślą o tobie w mrówczej, powolnej, ale nieustannej pracy szukają szczęścia nowego.

Kto jesteś i z kąd przychodzisz?

Chłód taki wieje od ciebie — a jednak takim ogniem rozpalasz piersi jednostek; milczysz — a jednak tak wiele mówisz; tak nieubłaganie surowo spoglądasz — a jednak tyle miłości i ciepła z oczu twych tryska; przez ciernie ludziom iść każesz, — a jednak szczęściem ich darzysz. Kto spełnia rozkazy twoje, ten boski spokój zyskuje.

Na czołe twojem widzę jasniejące słowa: „In hoc signo vinces!”

Powinność — to imię twoje.

Nieraz w czarnych, smutnych chwilach życia człowieka staje przed nim widmo straszne jak duch potępienia: odbiera wiarę w ideały szczytne, mrozi młodzieńcze uczucia i tchnieniem swoim wszystko, czego się dotknie, rozkłada w proch.

Widmu temu na imię zwątpienie.

Gdy ogarnie duszę człowieka, wówczas mu świat cały jedną mogiłą, jednym uczuć i myśli wydaje się cmentarzem; w piersi własnej czuje pustkę straszliwą, traci władzę nad sobą i widzi, jak sam się powoli staje ruiną.

Gdzie wówczas myśli jego, te orły lecące do słońca?

Gdzie duch jego, ta potęga burząca i tworząca światy?

Gdzie uczucia jego, jak słońce wiosenne, śniegi i lody topiące?

Gdzie głos ten, olbrzymi głos w łonie wszechświatów poczęty, a wiecznie w piersi ludzkiej jęczący pieśnią zbawienia, jak harf niebieskich melodya?

Wszystko w proch się rozkłada!...

W takiej chwili ty, powinności, stajesz przed człowiekiem, jak przed rozbitkiem po burzy nocej jutrzeńka błada, skąpana we mgłę porannej, z morskiej wypływająca topieli. A gdy widmo zwątpienia grób przed nim otwiera, ty podnosisz rękę do góry i wielkim głosem, jak głos archanioła, wołasz:

Excelsior!

Na głos ten zbudzi się człowiek ze straszego snu nicości, ze wstrętem otrząsie proch z piersi swoich, podniesie oczy do góry i świętą czynu zanuci pieśń. Znika słabość dawna, a z popiołów wykwita nowe życie, jak na wiosnę tęczyowych kolorów kwiat.

O powinności, wielką jest twoja potęga!

Kto ciebie umiał poznać, kto świetlaną postać twoją wciąż widzi przed sobą, kto wiecznie słyszy surowy głos twój i głosu tego słucha — tego panujący pan z ksiąg żywota nie wymaże.

W imię twoje konający z głodu nędzarz ostatnim łachmanem okrywa brata swego; w imię twoje ze spokojnem obliczem wstępują na stos ofiarny krzewiciele miłości wszechludzkiej; w imię twoje w milczeniu wloką taczkę życia znękani i życiem złamani; w imię twoje żyją ci wszyscy, którym życie nic już prócz cierni dać nie może, a żyją dlatego tylko, że w głosie twoim czarodziejską siłę widzą i wielką znajdują ciszę.

Bądź błogosławiona, wielka siło życia i ruchu! Schylamy przed tobą czoło i słuchamy głosu twego, co gdzieś w oddali, jak grom spowity w chmurze, wciąż jęczy:

Excelsior!

J. Nitowski.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

To życie bezczynne, bezcelowe, z dnia na dzień wlokło się teraz utartym szlakiem.

Przy boku barona i w kółku jego towarzyszy, stanowiących jakby stadko „niebieskich ptaków“, jakby jakieś bractwo pasożytów, Karol czuł się swobodniejszym, zapominał o swoich troskach, o ojcu, którego wspomnienie zachmurzało go coraz bardziej i goryczą przepełniało, o swojej egzystencji bez jutra; opuszczały go tam wszystkie przykre myśli i wątpliwości, nabierał humoru, ośmielał się i był zadowolonym z tego losu i z tego życia, które było dlań wcale znośnem i zabawnem.

Wobec Apcia nauczył się nawet z sarkastyczną zgryźliwością rozbierać swój stosunek z rodziną, wtajemniczywszy go powoli w naprężone stosunki swoje z ojcem, matką i żoną.

— To ci mnie urządziła szanowna familijka! — mówił do przyjaciela, kiwając głową z wyrazem ubolewania nad sobą samym. — Zabrali mi wszystko i puścili z kwitkiem. Bywaj zdrów hollenderski śledziul... Cóż ty na to?... ładna historia, prawda?... Sami mają dziś fabrykę, rządzą się, gospodarują, majątek robią i żyją z mojej pracy, a o mnie tyle się troszcza, co pies o piątą nogę. Żeby mi nie chodziło o skandal, wytoczyłbym proces staremu i sądownie odebrał wszystko, co mi się należy, prawda?... ale jeszcze tego tylko brakuje, abyśmy się processowali!... Chociaż daję ci słowo uczciwego człowieka, jak mnie żywego widzisz, zrobię to kiedy, nie dla pieniędzy, ale ze złości, z prostej irytacji, żeby im pokazać, co ja mogę!...

Apcio słuchał tego wszystkiego jednym uchem, i niekiedy zdobywał się na taki cyniczny argument, wygłaszany tonem dobroduszości:

— Daj pokój staremu, przecież on nie wieczny, ze sobą tego nie zabierze... Ja na twoim miejscu byłbym zadowolony, że się mu chce pracować i zbijać gotówkę; więcej zostawi.

Karol usta wydał.

— Ba!... a jak mnie wydziedziczy?... ty go nie znasz, on to gotów zrobić naumyślnie, aby mi jeszcze po śmierci dokuczyć.

— No, to wtedy pogadasz sobie z braciszkiem na cztery oczy.

— Z Krzysiem?... — machnął ręką, — to osioł!... tak tańczy, jak mu ojciec zagra. Żeby nie był moim rodzonym bratem, tobym przypuszczał, że go jaki kowal podrzucił do naszego domu. Parobas!... przecież go do siebie nigdy zaprosić nie mogłem. Kluski-by to jadło tylko i w kuźni stało. Daje ci słowo, że nawet nie umiem sobie wytłumaczyć, z kąd się u dyabła wyrodził taki exemplarz w naszej rodzinie!...

W ostatnich czasach Karol miał powód do takiej niechęci dla brata; przemówił się z nim i wyszedł bez pożegnania, trzasnąwszy ze złością drzwiami.

— Moja noga u ciebie więcej nie postanie — rzekł na odchodnym. — Jeszcze tak nisko nie upadłem, żebyś ty mnie kopał. Zapominasz, mój drogi, żeś był jeszcze młokosem, kiedy ja już w świecie byłem na stanowisku i byłem skończonym człowiekiem. Dlatego, że się dziś role zmieniły i ty masz więcej odemnie, to jeszcze nie powód, abyś mi robił uwagi za kawałek chleba. Obejdę się bez niego... Zabierzcie sobie wszystko, kiedy chcecie. Świat się kiedyś dowie, jak wyszedłem z wami!...

Wzburzony był i pieniał się niemal z gniewu i rozdrażnienia o to tylko, że go Krzys śmiał zapytać:

— I cóż ty niczego się nie chwycisz?... będziesz tak bruki zbijał bez wszelkiego zajęcia?... mógłbyś sobie coś przecie znaleźć, choćby dla zabicia czasu; możeby i ojciec wtedy dał się łatwiej przeprosić. Ty wiesz, jak on nienawidzi próżniaków.

Karol aż zębami zgrzytnął i pięści zacisnął, posłyszawszy te słowa; byłby się rzucił na brata, tak go ta wzmianka o próżniakach ubodła.

Wyszedł z silnem postanowieniem niezobaczenia więcej Krzysia, który śmiał się zapomnieć do tego stopnia, aby jego, starszego brata, swego niegdyś szefa i chlebowadwcę, nazwać próżniakiem!... to nie do darowania.

— To także sprawa starego! — mruczał, trzęsąc się z irytacji — nauczył go lekceważyć mnie i ubliżać. Smarkacz jakiś!...

Nie przeszkadzało to wszelako, aby w kilka dni później posłał do Krzysia list, krótki, ostry, z oznajmieniem, iż po pieniądze osobiście zgłaszać się nie będzie i żąda, aby je wydawano osobiście przez niego upoważnionej, z góry, na pierwszego każdego miesiąca.

Łaskę, jaką mu robiono, uważał za obowiązek, za prawo i dyktował swoje warunki, jakby mu się istotnie należało cokolwiek z tego majątku, zrujnowanego doszczętnie przed kilku laty.

Krzys w pierwszej chwili po otrzymaniu takiego oznajmienia, miał ochotę się i odpisać bratu w podobnym tonie, ale, namyśliwszy się, na tym samym liście umieścił tylko niebieskim ołówkiem jeden wyraz: „dobrze“ i w kopercie odesłał taką odpowiedź Karolowi.

Od tego czasu przestali się stykać osobiście.

— Wiesz co, przekonałem się, że można istnieć bez wiadomości od kochanej rodziny, — mówił po jakimś czasie do Apcia — nawet mnie nie korci spytać się, czy żyją. O, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubiel!... Tyle mnie teraz obchołzą, co ja ich. Zdaje się, że nie prędko będziemy mieli przyjemność powiedzieć sobie: „dzień dobry“.

W tych warunkach spotkała go też niespodzianka, której pierwsze wrażenie starał się pokryć pozorami zupełnego lekceważenia i obojętności.

Pewnego razu, po Wielkanocy, siedział wieczorem w cukierni z baronem i ciągnąc przez słomkę mazagran dobrze koniakiem zaprawiony, namyślał się nad rozwiązaniem rebusu w jakimś illustrowanem piśmie niemieckiem.

Nagle usłyszał nad sobą głośnie zapytanie Tonia:

— Co to, pan jeszcze nie we fraku?..

Podniósł głowę i spojrzał zdziwiony.

— Dlaczego?... mamy dzisiaj jaką fetę nadzwyczajną?

— No, a wesele?..

— Co za wesele?..

— Nie udawałbyś pan; przed Św. Krzyżem widziałem już powozy z orszakiem ślubnym.

— Daję słowo, nie nie rozumiem.

Tonio śmiechem parsknął i, zwracając się do barona, rzekł:

— A to wyborne!.. zapomniał o ślubie własnego brata?

Blade policzki Karola pokryły się silnym rumieńcem.

— Mój brat się żeni? — spytał machinalnie.

— Co pan udajesz naiwnego! — obruszył się Tonio — dobry sobie! — nie wie o ślubie brata.

Apcio spojrzał na Karola z uśmiechem i miesząc się do rozmowy, spytał:

— Kogóż to pan Krzysztof Fatt uszczęśliwia?...

— Podobno jakąś pannę Pęczińską, — odparł Tonio.

— Pęczińska?... z których-to Pęczińskich? — zwrócił się do Karola, zagryzającego sobie wargę z chmurą i niezadowoloną miną.

— Z fabrycznych, — mruknął niechętnie za zgryźliwym uśmiechem i wzruszył lekceważąco ramionami.

— Cóż to za partya?

— Córnica mojego byłego inkassenta.

Apcio przekreślił głowę i ironicznie zagwizdał:

— Fiu, fiu!... musi być posażna, co?

— Goła, jak święty turecki.

— I to w dodatku?... zatem małżeństwo z najczystszej miłości?... no, teraz rozumiem, dlaczego nie jesteś na weselu. Mezaljansik, co?...

— Sprzeciwiałem się temu całe lata, — odrzekł Karol — i nie byłbym nigdy na takie głupstwo pozwolił, ale teraz niech sobie robią, co chcą. Nic mnie to nie obchodzi, ani mnie ziębi, ani grzeje.

— Ładna przynajmniej?...

— Ot, pokojóweczka! — brzmiała odpowiedź, której towarzyszył lekceważący grymas około ust i podniesienie brwi do góry; — u mnie młodsze bywały ładniejsze.

— No, to nie winszuję ci bratowej, — wtrącił baron, wyciągając nogi w ciżemkach z matowej skóry, o bardzo długich i spiczastych nosach, a płaskich zupełnie obcasach. — Mieć teścia, który zdiera parę butów na miesiąc, biegając cały dzień z rachunkami, to kosztowna parentella.

Przeciągnął się, ziewnął i podał Karolowi jeden palec na pożegnanie.

— Zobaczmy się wieczorem w hotelu?

— Idziesz już?

— A idę; nie zapomnijże stawić się o jedenastej i dopilnować kolacji. Będiesz robił honory domu w moim imieniu.

— Do widzenia.

— *Adieu!*... jabym jednak na twojem miejscu poszedł choć zdaleka pobłogosławić młodą parę — dodał Apcio z uśmiechem, zwracając się jeszcze na wychodnym w stronę Karola.

— Nie głupim.

Mimo to, poczekawszy chwilę, wstał i wyszedł na ulicę, powolnym krokiem kierując się ku kościołowi święto-krzyżkiemu.

Ciągnęło go coś w tamtą stronę, choć się zapierał i zarzekał; chciał zdaleka zobaczyć ten orszak weselny, w którym dla niego zabrakło miejsca, tę rodzinę, bez której nauczył się żyć i obywać, tę szczęśliwą parę narzeczonych, która wbrew jego woli szła do ołtarza, pokonawszy wszystkie przeszkody i trudności.

Gryzła go jednak ta myśl, że tak jakoś obesłzi się wszyscy bez niego i zlekceważyli go zupełnie w chwili uroczystej; wobec barona i Tonia nadrabiał miną, ale teraz wobec siebie samego nie potrzebował więcej udawać.

Zmieszał się z tłumem i przemknął przez bramę na obszerny dziedziniec, z kąd było wejście boczne do zakrystyi i kościoła; nie chciał wszelako wejść do wnętrza, wolał pozostać niewidzianym, niż spotkać się oko w oko z kimkolwiek.

Obrał sobie w jakimś ciemnym załomku muru miejsce, stanął i czekał.

Przez wysokie okna świątyni widział żółtawy blask świec pozapalanych w głównej nawie, słyszał przedzierający się przez grube mury głos organów i śpiew chóralny: *Veni creator*.

Chwilami organy przestawały rozbrzmiewać, jakby słuchały głosu księdza od ołtarza, potem odzywały się pojedyncze dźwięki, gdy organista palcem próbował klawiszy, aby natrafić na właściwy ton i dobrać odpowiedni akkord, potem na stała dłuższa przerwa w muzyce i śpiewach, podczas której odbywała się ceremonia ślubu, przysięgi i zamiany pierścionków, aż nareszcie znowu zabrzmiał organ weselnym jakimś marszem i po chwili z otwartych drzwi kościelnych, ostrożnie zaczęły się wysuwać pojedyncze postacie na ciemny dziedziniec.

Zrobił się ruch, z turkotem zajechał pierwszy powóz i drugi, zaczęto się sadowić w karetach, zaprzężonych w białe konie, szarpiące naprężone lejce, które migotały białymi liniami w powietrzu; stangreci w białych bawelnianych rękawiczkach, przy bukietach, upatrywali z kózla swoich państwa, odpowiadając na wołanie po imieniu.

— Jestem tu!...

Karol, ukryty pod murem o kilka kroków tylko od bocznej furty kościelnej, stał nieruchomy i widział wszystkich wychodzących po kolei, niewidziany i nieuważany przez nikogo.

Widział Krzysia wsadzającego w białej sukni, okrytą welonem ślubnym, niby obłokiem, swą ukochaną Franię do karety; służący zatrzasnął

drzwiczki, wskoczył na kozioł i konie ruszyły z kopyta, uwożąc najpierw młodą parę.

Za nimi ostrożnie, powoli, podtrzymywany z jednej strony przez Pęczyńskiego, z drugiej przez żonę, schodził po schodkach stary Fatt, opierając się ciężko na swojej łasce; siwa jego głowa chwiała się, jak biały kwiat śniegowca na poruszowej gałęzi.

Liza w białe różowej toalecie, w narzutce atlasowej, białym futerkiem obszytej, szła przy boku jakiegoś smukłego blondyna, widocznie jednego z družbów i zdawała się być zajęta bardzo jego rozmową; uśmiechała się i zasłaniała sobie usta bukiem z białych róż i azalii; za nią, trochę sztywno się trzymając, z uroczystą jakąś powagą, postępowały dwa dorosłe podlotki w jednokolorowych różowych sukniach, z rozpuszczonymi kosami.

Trudnoby było już rozpoznać w nich tesame „dzieci“, które Krzysiek cukierkami obdarzał i całował przy każdej wizycie u Pęczyńskich; powy-rastały na hożej dorodnej dziewczęta, które pierwszy raz prowadzone pod rękę przez panów w czarnych frakach i białych krawatach, otwierających zamaskiście z tizaskiem swe szapokłaki, miały minę trochę zakłopotaną i zmieszaną. Za nimi wysypywał się orszak ślubny niezbyt liczny, złożony z najbliższych krewnych i przyjaciół domu, z najstarszych officialistów fabryki i kolegów Krzysia i Pęczyńskiego.

Tłum ciekawych cisnął się i zaglądał w oczy gościom weselnym, przypatrywał toaletom dam, robił swoje uwagi i szeptał, cisnąc się i depcząc sobie po nogach a kobietom po trenach sukien.

Przed oczyma Karola przesuwali się ten cały ruchliwy i tamujący sobie wzajemnie przejście pochód, wśród którego poznawał prawie wszystkie twarze, najdawniej nawet niewidziane.

Wspinał się na palce i z wyciągniętą naprzód szyją, patrzył i patrzył, a ponury cień zasępiał mu coraz więcej całą twarz i duszę.

Obeszli się bez niego!...

Ta myśl sprawiała mu jednak dziwną przykrość, drażniła go, upokarzała nowym dowodem, nie zapomnienia, ale umyślnego odsunięcia od wszystkich związków rodzinnych. Uważano go za całkiem obcego.

— Mogłem nie pójść, ale powinni byli mnie zaprosić,awiadomić przynajmniej — mówił do siebie — dać znać przez posłańca, jeśli żalowali papieru.

Zły był na nich wszystkich i ta złość, pomieszana z żalem, z głęboką urazą, do której nie byłby się głośno przyznał przed nikim, nurtowała go w tej chwili i jak zębata piła szarpała mu nerwy.

Od samego początku upatrywał żony i dzieci wśród ślubnego orszaku; zdawało mu się, że będzie miał odwagę zbliżyć się przynajmniej do nich i rozmówić z panią Wandą.

Ta sposobność go jednak ominęła.

— Co to jest, że jej niema? — myślał — może jej także nie zaprosili?... a może nie przyjechała?... Dobrzeby zrobiła; nie powinna być tam, gdzie jej męża nie proszą. Jednak, co się to stało?...

Pani Wanda nie przyjechała z innej całkiem przyczyny; od kilku tygodni Wiluś chorował na ospę i nie opuszczał jeszcze łóżeczka, chociaż niebezpieczeństwo choroby minęło.

Czułemu ojcu ta ewentualność nawet przez głowę nie przeszła; od czasu, gdy, podrażniony listami żony, przestał z nią zupełnie korespondować, nie miał prawie o niej i o dzieciach żadnej wiadomości, a po zerwaniu z Krzysiem stracił ostatnie źródło, z którego mógł był je zacyzerpnąć.

Obiecywał sobie, że kiedyś wszystko się to naprawi i przy nadarzonej sposobności pogodzi się z żoną.

Cóż to? nie znał jej, nie wiedział, że kilkoma dobrnymi słowami nawróci ją znowu ku sobie, jak zadbane dziecko!...

W tych przypuszczeniach ludził się tylko; gwałtowne przejścia, kilka lat smutnych doświadczeń i rozmyślań, całe postępowanie męża otworzyły jej oczy i zmieniły ją do gruntu. I ona także przeszła na stronę tych, którzy go potępiali; — i ona dała się w końcu „zbuntować“, chociaż tak

długo broniła go gorąco przed wszystkimi i przed samą sobą.

Dlatego właśnie milczała i nie odzywała się do niego ze wsi, chociaż wiedziała dobrze o jego powrocie z zagranicy...

Kiedy ostatni powóz wytoczył się z dziedzińca kościelnego, Karol stał jeszcze na swoim miejscu pod murem i rozmyślał; trudno mu było pogodzić się z sytuacją, jakkolwiek, wyczerpawszy wszystkie argumenta, machnął w końcu ręką i mruknął:

— Pał dyabli!...

Uderzył kilka razy łaską tak silnie o bruk, że aż się iskry posypały i skówka odskoczyła, potem nacisnąwszy kapelusza na oczy, wyszedł z bramy na ulicę przyspieszonym krokiem, jakgdyby poprzedniej ucieki chciał z tego miejsca i zgubić po drodze wszystkie wrażenia odniesione przed chwilą.

W kwadrans później siedział znowu w cukierni na dawnym miejscu i wpatrywał się nanowo w nieodgadnięty rebus, ale teraz trudniej jeszcze, niż przedtem, przychodziło mu rozwiązanie zadania, bo rozprzeżone myśli nie dawały się tak łatwo skupić w jednym kierunku. Roztargniony był i nieuważny, palił papierosa jednego po drugim i czekał tej godziny jedenastej, w której miał się stawić u barona.

Apcio od kilku dni przyjmował gości u siebie; schodziła się u niego cała „paczka“ na partyjkę, z okazji przybycia kilku młodych Krezusowiczów, spędzających letni karnawał w mieście, z dobrze wypchaną kieszenią pieniędzmi papy i mamy.

Tonio, który już dawno zdażył pozbyć się faetonu i koni i przepuć kilkanaście tysięcy rubli, wygranych w karty, pospłacałszy zaledwie ważniejsze długi, zrobił z nimi znajomość przypadkiem na wieczorku u Suczkowskiej.

Byli tam dwaj bracia Szramińscy, którzy niedawno doszli do pełnoletności i objęli na siebie majątek po dziadku, był niejaki Feibel, syn bogatego przedsiębiorcy i handlarza drzewem, który na eksploatacyi lasów dorobił się olbrzymiej fortuny, było jeszcze dwóch młodzieniaszków z herbowymi nazwiskami, z miną lordów, którym zaledwie puszek na płowe baczki sypać się zaczęło.

Przez Tonio poznali się z baronem i zaczęli wesołe spędzać wieczory przy zielonym stoliku.

Z początku była to zabawka po kolacyi, przy kieliszku wina, dla zabicia czasu; po kilku dniach wszelako szła już gruba gra, stawki rosły, różnice dochodziły do znacznych sum.

Młodzi ludzie zapalali się temwięcej, im bardziej ich szczęście zawodziło.

Apcio obiecywał im, że się odegra, zapowiadał codziennie rewansz na jutro, wymyślał nowe zabawy i ścigał ze złością mistrza „całą paczkę“ do siebie lub do Tonio.

Feibel, smagły brunecik z kędzierzawą głową, z czarnymi wąsikami o sobolowym połysku, przegrywał najwięcej co wieczór, rzucał całemi garściami na stół banknoty i z fanfaronadą powtarzał:

— No, macie, weźcie i to — jeszcze się tam znajdzie coś na jutro.

Udawał wielkiego pana, ciskał setkami, ale czarne jego oczki biegały niespokojnie za każdym rublem po zielonym suknie; po kilka razy sprawdzał przybite karty i rachował się, jak Harpagon ze swymi partnerami.

Starszy Szramiński siadał do gry zazwyczaj dopiero po sutej libacyi, miał manieri szlagona na jarmarku, mylił się, wykrzykiwał, co chwila, gotów był robić burdę, ale na głos młodszego brata, który był jego wcielonym przeciwieństwem, uspakajał się, powtarzając tylko:

— Staszek, ty mnie pilnuj!... tylko mnie pilnuj, abym czego nie zmalował, bo ty masz rozum, bestyo, i jesteś zawsze trzeźwy. Wiece panowie, on jest zawsze trzeźwy, choćbyście go w samym spirytusie marynowali!... A ja znowu powącham tylko kieliszek i już mi w głowie się kręci, jużbym robił awantury. Taka natural!...

Apcio jednego klepał po ramieniu, drugiego za rękę ścisnął; z Feibelem mówił po francuzku

i nazywał go: „cher Feibel“, zmieniając i, wymowę, i akcent nazwiska, które brzmiało wcale nie arystokratycznie; młodych lordzików traktował z wyróżnieniem, choć protekcyjnie, jako wchodzących dopiero w świat.

Ten wieczór miał być pożegnalnym dla obu Szramińskich, którzy wyjeżdżali do siebie na wieś i po raz ostatni przychodzili spróbować szczęścia.

— Obluskałeś nas pan porządnie, — mówił Staszek, śmiejąc się głośno do barona po kilku kieliszkach szampana, które Karol Fatt nalewał nieustannie gościom swego przyjaciela — niech pana gęś kopnie!... pan grasz jak drugi Kusiński.

Apcio skrzywił się trochę, ale znając już „naturę“ swego partnera, połknął w milczeniu pigułkę i dalej rozdawał karty.

— No, i graj tu z takim! — wymyślał dalej niby żartem gorący Staszek — żeby choć jedna lewa!... Niech was wszystkie pioruny spała z taką kartą! No, co pan tam śpiewasz panie baron?.. ja pas.

Gorączka gry opanowywała całą paczkę, znać było podrażnienie nawet w Feiblu i w obu lordzikach. Wszyscy przegrywali z wyjątkiem gospodarza i Tonio, który przysiadł się niby na doradcę, to do jednego, to do drugiego z braci Szramińskich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Lipcu 1890 r.

Niepogody czerwcowe. — Powrót Eyraud'a (zabójcy Gouffé'go). — Zacierzwanie się Paryżanów. — Skandale. — Łaska. — Przywilej władzy najwyższej. — Uwolnienie ks. Orleńskiego. — Łaska i wdzięczność. — Wystawa Sztuk Pięknych na Polu Marsowem. — Następstwa odszczepieństwa. — Nagrody na wystawie Pól Elizejskich. — Wyścigi konne. — *Grand Prix*. — Niesłychane powodzenie w tym roku. — Nowe dzieła. — Nowa książka Wiktora Hugo. „Podróż do Pirenejów“. — *Une vie d'artiste*, przez malarza Juliusza Breton'a. — Hr. Lanckorońskiego wspaniałe wydanie podróży archeologicznej do Azyi Mniejszej — *Education d'un prince* przez Gypa. — *Raison d'Etat*, przez B-na de Baulny. — *Notre Coeur* przez de Maupassanta. — *Les enfants mal élevés* przez Nicolay. — *Joanna d'Arc, légende minée*, w Hippodromie. — Panna Bilcesco doktorka obojga praw. — Skon Walerego Ostroroga.

(Dokończenie).

Niewydane dotąd dzieła Wiktora Hugo wzbo-gaciły się nowym tomem, wydanym u Hetzela i Quantina, staraniem pp. Pawła Meurice'a i Aug. Vacquerie. „W podróży“ (*en Voyage*) taki jest tytuł tej książki — jest to naturalne następstwo tych cudownych wrażeń z podróży, które wielki poeta wydał był niegdyś pod tytułem: *Le Rhin*. Część pierwsza, napisana w 1839 r., zawiera w sobie, wycieczkę do Lucerny, na Mont Pilate, do Aix-les Bains, Genewy, Marsylii, do wąwozów w Ollioules i do Tulonu. Część druga ma za tytuł „Pyreneje“ — w niej Wiktor Hugo, prowadzi nas nad brzegi Loary, potem do Bordeaux, Bayonny, Biarritz, St-Jean de Luze, San-Sebastian, Tolozy, Pampeluny i z powrotem, coraz dalej na północ i zachód, kończy zaś wycieczkę na wyspie d'Oléron.

Ci, którym dano było oglądać manuskrypt oryginalny tej książki, nie mogą dosyć wypowiedzieć zachwycenia, w jakie je wprowadził widok tego albumu, gdzie pomiędzy wierszami tekstu i na marginesach rozścielają się szkice półwiekowe mistrza: widoki, kwiaty, zeschłe liście, kawałeczki spróchniałe drzewa — i tysiące tych szczegółów, których objaśnienie znajduje się w texcie. Powiedzialem wyżej, że ta podróż Wiktora Hugo

skończyła się na wyspie Oléron. Nie mogąc dać wam rozbiórki książki, jednej z najpiękniejszych, jakie napisał Hugo, będący wówczas w całej sile i pełni swego talentu, pragnę przynajmniej umieścić tu w przekładzie to, co czytam na ostatniej jej kartce o dniu straszliwym, kiedy dosięgnęło poetę jedno z nieszczęść niepowetowanych w życiu.

„Wieczorem mojego przybycia na Oléron byłem przygnieciony boleścią i smutkiem.

„Nie wiedziałem jeszcze: dlaczego? — dowiedziałem się dopiero nazajutrz.

„Wyspa zdała mi się dziką, posępną; a przecież nie była mi wstrętną...

„Czułem śmierć w duszy. Może, patrzyłem na wszystko, przez swoje udręczenie. Może innego dnia, o innej godzinie miałbym inne wrażenie, ale ten wieczór był dla mnie żalobny i tęskny. Zdawało mi się, jakgdyby ta wyspa była ogromną trumną rzuconą wśród morza — a ten księżyc jej pochodnią!...

W notatce, u spodu kartki dodanej przez ludzi, którym powierzono staranie uporządkowania i wydania papierów wieszczą, czytamy co następuje:

„Dnia 8 Września Wiktor Hugo pisał:

„Miałem śmierć w duszy“. — „Tego wieczora wszystko mi było złowieszcze“ — „Zdawało mi się jak gdyby ta wyspa była ogromną trumną rzuconą wśród morza.“

„Nazajutrz Wiktor Hugo, uciekając z tej posępnej wyspy, na której żył pod dławiacem go wrażeniem, przyjechał do Rochefortu. Czekając na odjazd dyliżansu — wszedł do kawiarni i zażądał szklanki piwa. Wzrok jego spoczął na leżącym tuż dzienniku.

„Raptem naoczny tego świadek widział go, jak zbladł okropnie, przycisnął rękę do serca, jak gdyby chciał je powstrzymać, aby nie pękło — wyszedł śpiesznie z kawiarni, opuścił miasto, i jak obłąkany, wielkimi krokami, podążył wzdłuż wałów fortecy...

„Dziennik, który czytał, opisywał wypadek który się zdarzył w Villequier.

„Pięć dni przedtem, d. 4 Września 1843 r., córka poety, Leopoldyna, utonęła w Sekwanie...

„Zaledwie od sześciu miesięcy była zamężną za Karolem Vacquerie, który, niemogąc uratować tonącej, wraz z nią poszedł na dno.

„Pogrzebani zostali w Villequier, w jednej wspólnej trumnie...

„Tak-to została przerwana podróż do Piryneów. Nieszczęśliwy ojciec wrócił natychmiast do Paryża.

„Czytali wszyscy i zawsze czytać będą w *Les contemplations* Wiktora Hugo cudnie piękny i bolesny poemat pod tytułem: *Pauca Mea!* Do tej książki odsyłam czytelników moich.

Mówiąc o książkach, wskażmy cenniejsze. Pierwszą z porządku jest ciekawy tomik, kreślony ręką artysty — i nosi też nazwisko odpowiednie „Życie artysty“ (*Une vie d'artiste*). Opowiadanie to proste, zajmujące nad wyraz; bohaterem jego jest sam autor, a znany zągład malarz, Juliusz Breton. Wciągu opowiadania widzimy występujących na scenie wszystkich znakomych malarzy i snycerzy naszego czasu — słowem: całą historią sztuki, szczególnie od lat pięćdziesięciu — zamkniętą w kwiecistych ramach miłych wspomnień rodzinnych i krajobrazów, równie wiernych jak owe, które artysta ożywia żyjącymi postaciami na swoich obrazach.

Juliusz Breton jest to trochę zdziwały artysta, coś w rodzaju Zoli. Większą część roku spędza zwykłe w północnej Francji, w okolicy zwanej Courrières — jest to rodzinne jego miasteczko. Postać sama tego wiejskiego mistrza jest dosyć dziwna: pół poety, pół chłopca. Nie wygląda on wcale na te, tak znane, artystyczne typy paryskich malarzy. Oko, bystre i przenikliwe, uderza wprost jakby sztyletem tego, kto raz pierwszy artystę spotyka. Oko to wychodzi z twarzy kościstej, opalonej wolnem powietrzem wioski, którą artysta opuszcza rzadko. Włosy obfite, zaczesane na tył, założone są z obu stron za uszy, jakby nastrożone w górę. Rysy silne i twarde, ale ci,

co go dobrze znają, utrzymują, że serce to jest czule i miękkie, jak koloryt obrazów Bretona.

Książka jest ciekawa. Biorę dwa tylko szczegóły dla przykładu. Oto: jak Breton opowiada pierwsze swoje spotkanie z wielkim pejzażystą Troyon'em.

„Troyon przyszedł mię odwiedzić, opatrzył uważnie kilka moich obrazów z lat młodych, i zdanie swe streścił w następnych słowach:

— „Masz dużo talentu — ale masz i wady; z czasem stracisz te ostatnie — i będzie to może tem gorzej!“

Jest to absolutna prawda w dziedzinie sztuki. Często się bowiem zdarza, że malarz porusza nas bardziej w tych swoich obrazach, które ujawniają pierwsze wzruszenie próby artystycznej — niż w dziełach, gdzie już postępuje pewnym krokiem z nabytą poprawnością stylu, która nieposzlakowaną naukę stawia wyżej nad wszystkie wrażenia duszy.

Z życia własnego oto w jaki sposób opowiada Breton swoje oświadczenie się tej, która została jego żoną.

„Rzecz stała się bardzo prosto. Malowałem jej portret w małej pracowni, a doszedłszy do oczu, zatrzymałem się wzruszony i odezwałem się do niej: — „Czyś mię zrozumiała?“ Ona dała mi znak potwierdzający: — „Czy chcesz zostać moją żoną?“ Tensam znak odpowiedział mi twierdząco.“

Jest ich bez liku, tych małych i zajmujących rzeczy w książce Bretona. Przy tem usposobieniu, w jakim się dziś znajdują sztuka i artyści we Francji, czuję i rozumiem, że książka ta będzie bardzo poczytną, ale też będzie roztrząsaną i krytykowaną okrutnie. Mniejsza o to, ale chciałbym, aby ją u nas czytali przedewszystkiem nasi artyści. Są tu uwagi i spostrzeżenia, które przemawiają wprost do jaźni ludzkiej — a że do nikogo oświadczenie się nie zwracają, tem mocniej utrwalają się w samowiedzy i niejednemu zbłąkanemu w błędnym artyzmie wskażą dobrą do powrotu drogę.

Nie odchodząc od półek księgarskich, muszę tu wskazać, choć pobieżnie, wybitniejsze wydawnictwa literackie. Zaczynam od książki najpoważniejszej.

Na ostatniem posiedzeniu Akademii des Inscriptions et Belles Lettres — p. Perrot, akademik i dyrektor szkoły normalnej, złożył jej przysłane w darze wspaniałe dzieło naszego rodaka, hr. Leona Karola Lanckorońskiego, pod tytułem: *Les villes de la Pamphylie et de la Pisydie; ouvrage publié avec le concours de G. Niemannet de Peterson — Paris, 1890.*

P. Perrot oddał autorowi wielkie a zasłużone pochwały. Jest to dzieło uczone i monumentalne. Wykopalska i prace podjęte około odgrzebania pomników w tej części Azji Mniejszej, która niegdyś kwitnęła bogactwem, oświatą i blaskiem sztuk pięknych, a dziś jest pustą i zapomnianą prawie, przynoszą rzetelny zaszczyt p. Lanckorońskiemu, który poświęca swe *aurea otia* i wielką fortunę na cele tak silnie obchodzące naukę. Szczegółowe i bardzo wystudiowane opisy odszukanych starożytności są najmniejszą zaletą tego pięknego dzieła, którego świetność i niezrównaną ozdobę stanowią przyłączone do tekstu ryciny — szczególnie, robione piórem. Są to prawdziwe arcydzieła w swoim rodzaju.

Wśród wielu ciekawych odkopanych zabytków potrzeba na pierwszym położyć miejscu teatr odkopany w Pizydzie z całkowitą i doskonale zachowaną sceną — co jest prawdziwą rzadkością archeologiczną; dotąd bowiem znany był jeden tylko taki pomnik — i to jeszcze mniej dobrze zachowany, niż ów dzisiejszy z Pizydy. Dwaj wspomnieni na tytule profesorowie wiedeńscy są to powagi naukowe pierwszorzędne i dają zupełną rękojmią ściśle naukowej wartości dzieła. Text jest redagowany pofrancuzku a wydanie, jak mówiłem, odznacza się, nie tylko czystością i pięknnością druku, ale nawet imponującą swą formą *in 4-o majori*.

Text pisany jest pofrancuzku. Miejmy to za dobre autorowi, który je mógł być wydać ponie miecku — zresztą, mniej tu, jak mówiłem, chodzi o sam text dzieła. Jest to porządne i ściśle naukowe zdanie sprawy — może to być użyteczne

dla ludzi specjalnych, a tych tak mało, u nas jeszcze. Ci zaś, co są, mają dość znajomości francuzkiego języka, aby się łatwo posługiwać dziełem p. Lanckorońskiego — gdyby tylko wartość książki nie przechodziła środków i możliwości uczonych ludzi w ogólności.

O belletrystyce byłoby sporo do napisania, ale niema nic przecież, co by się odznaczało pierwszorzędną wartością; dość wspomnieć o tem pobieżnie i wskazać, bez dalszych wywodów, co zasługuje na waszą uwagę. Wspomnijmy naprzód o tem, co jest dziełem kobiet:

L'Education d'un Prince Gypa, pani hr. Martel. Jest to jedna z najdowcipniejszych i najweselszych książek, znanej autorki. Gyp w tym nowym tomiku przeszedł samego siebie dowcipem i werwą. Szatańska prawdziwie ironia, jaką potrafił zaprawić ten twór, obiecuje „Edukacyi“ tryumf i wziętość.

Innego rodzaju powieść: obyczajowa, spokojna, coś niby jak romans angielskiej szkoły, jest to *Raison d'état* — podpisany: „Yves de Noly“ Pseudonym ten ukrywa dobrze nam znajomą, a świeżo wspomnianą w *Bluszczu* panią baronową de Baulny, z domu Rouher. Nie ma ta powieść wcale pretensyi walczyć o lepsze z takim, naprzykład, autorem, jak Gyp lub innemi; ale też może być śmiało powierzona młodym czytelnikom bez cenzury i restrykcji.

Należałoby się słowo o nowej powieści p. Guy de Maupassant, pod tytułem *Notre caver... Mea culpa*: nie czytałem, ale ponieważ zewsząd wołają, że to jest gruby wypadek literacki — a więc trzeba to ostrożnie brać do ręki.

Za to czytałem i rekomenduję, jako specyfikum na hipochondryę — dowcipne i niesłychanie zabawne blaźństwo: *Les enfants mal élevés* przez Ferdynanda Nicolaya. Jeśli chcecie się uśmiać do rozpuku, czytajcie! co o tych niemilusińskich opowiada p. Nicolay.

Teraz zajrzyjmy na chwilę do teatru, do uniwersytetu i do nekrologii.

Widzieliście z listów poprzednich, jak Francuzi rozumieją kanonizacyą swę świętej Joanny d'Arc; włóczą ją z teatru do cyrku, rozwałkowują na muzykę i tragedya — i co się tu nazywa: kuć żelazo, póki gorące! Brakowało jeszcze, aby się pokazała na koniu w całym rynsztunku wojennym, i aby na prawdziwym spłonęła stosie! Stało się! Mamy tu w tej chwili takie przedstawienie w hippodromie, gdzie nawał publiczności jest tak ogromny, iż połowa amatorów wraca bez skutku, nie znalazłszy próżnego miejsca. Czy myślicie, że widowisko jest arcydziełem? Nie — ale reklama tak się urządziła, że nikt nie uszedł jej stryczka. *Légende mimée!* Tego dosyć.

D. 12 Czerwca na fakultecie prawnym młoda panienka, panna Sarmisa Bilcesco, zdając examina na stopień doktora obojga praw, broniła świetnie swej tezy i została przyjętą z wielkimi pochwałami przez jury, którego pochlebny wyrok ogłosił p. Colmet Santerre, prezydujący na tem przyjęciu. 1).

Poraz-to pierwszy tego rodzaju examina i próba bronione były przez kobietę.

Panna Bilcesco, Rumunka, ma lat dwadzieścia trzy; rodziła się w Bukareszcie i od r. 1884 była stałym słuchaczem w paryzkiej szkole prawa.

Przedmiot wybrany do tezy, której miała bronić młoda doktorka prawa był: „O prawnem położeniu Matki, według rzymskiego i według francuzkiego prawa“ Konkluzya stanowiło: „iż należy kobiecie nie sięgać po atrybucyę męczyzny, ale raczej okazać się mu równą, pełniąc obok niego misyą, która się jej właściwie dostała. Ta misyja polega nie tylko na tem, aby być narzędziem propagacyi rodzaju ludzkiego, ale przede-wszystkiem na tem, aby wychowywać tych, którzy mają być ludźmi.“

Ta obrona młodej doktorki była powodem dość zabawnego zdarzenia. Jest tu regulamin, który nakazuje, iż obrońca tezy powinien na tę okoliczność przywdziać czarną togę studencką. Wszczęła się więc dyskusya między profesorami: czy

1) Wspomniał już *Bluszcz* o tej doktoryzacyi w N 28.

panna Bilcesco przywdzieje, czy nie, tę togę? W końcu stanęło na tem, że młoda doktorka została upoważnioną w czasie egzaminu nie przywdziewać togi.

Zapiszmy tu smutną nowinę, która nas doszła z Londynu. P. Walery Ostroróg, znany tu i w Anglii jako znakomity bardzo fotograf, pod nazwiskiem „Walery“, umarł nagle w Londynie w Sobotę d. 31 Maja.

Walery Ostroróg nie był to wcale fotograf, jakich wielu: był to prawdziwy artysta w swoim rodzaju. Człowiek ukształcony, dobrze wychowany—jednem słowem: była to osobistość sympatyczna: to też używał wielkiej wziętości i miał miłość ludzką—co świadczy najlepiej o jego rzeczywistej moralnej wartości. Rozpoczął swój zawód w Marsylii, gdzie się ożenił poraz pierwszy. Następnie przeniósł się do Paryża, gdzie miał sławny swój zakład przy ulicy de Londres. Po śmierci żony, z której miał dwóch synów, zamieszkał w Londynie i założył świetną pracownię; przed sześciu miesiącami ożenił się po raz drugi. Nagła i niespodziewana śmierć przerywała zawód szczęśliwy i bardzo donośny. Nieboszczyk musiał zostawić znaczną bardzo fortunę, bo interessa jego prowadzone były bardzo biegle a szczęście mu sprzyjało zawsze.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXXV.

Twórca a krytyk z powodu sztuki krytyka. **Cień** (Der Schatten), sztuka w 4-ach aktach, Pawła Lindau'a, tłumaczył z niemieckiego *Maryan Gawalewicz*. — d. 16-go Lipca w Teatrze Letnim. — **Ciarachy**, sztuka w 4-ach aktach, ze śpiewami i tańcami, oryginalnie napisana przez *Jana Kazimierza Galasiewicza*, z muzyką *Stanisława Niedzielskiego* — nagrodzona na konkursie *Echa Muzycznego i Teatralnego* w r. 1890 pod godłem **Najnowszy** — d. 17 Lipca w Teatrze „Wodewil“.

La critique est aisée, et l'art est difficile. Gdy krytyk dramatyczny sam nareszcie coś napisze, krytykowany przez niego autorowie najczęściej znajdują sposobność do skrobania mu marchewki: „A widzisz, innym przyganasz, a sam robić nie umiesz“. Na to znowu krytyk ma odpowiedź krótką: „I to, co ty robisz pełne jest błędów, tylko, że ty ich albo wcale nie widzisz, albo zapóźno je dostrzegasz.“ Kto ma tedy sądzić o doskonałości, a raczej niedoskonałości, sztuki? Komu łatwiej ustrzedz się błędu i zająć stanowisko bliższe prawdy? Stanowisko autora podczas tworzenia jest zawsze tylko indywidualnem, co więcej nawet: z każdym nowym ujęciem pióra autor staje na nowym punkcie widzenia. Jeżeli tylko innych nie obdziera, to ma przed sobą własny tylko swój pomysł, własną historią człowieka i własną potrzebę plastycznego jej opowiedzenia: nic innego dlań nie istnieje, jeżeli mu już dawniej bezwiednie w krew autorską nie weszło. Własne dzieło, przez to samo już, że go inaczej nie wytworzył, jest dla niego samego zawsze doskonałem. P. Przybylski, na przykład, pisząc swoje *Ptaki niebieskie* lub *Złote czy naftowe góry*, przekonany był, że tworzy dzieła dobre, bo gdyby tego przekonania nie miał, nie byłby ich wcale napisał. Ten subiektywizm autorski potężniejszym jest nad wszelkie reguły, przykłady, przekonania i wszechznawstwo kunsztu dramatycznego. Twórczość ma to do siebie, że w najtrudniejszej nawet świadomości jest jeszcze nieświadomą. Każdy autor upaja się dziełem swoim; ale niema sumiennego krytyka — a niesumienny jest tylko pospolitym niegodziwcem — któryby upajał się naganą daną krytykowanemu dziełu. Na krytyku nie ciąży więzy subiektywizmu twórczego. Patrzy on na wszystko jednakowem okiem i wszystko jednakowym obejmuje promie-

niem. Mnóstwo rzeczy spokojnie widzianych i porównywanych daje mu jakby przecięcie prawdy. Ideały sztuki i życia są jego ideałami, jak mogą być ideałami autora; on nawet jaśniej je widzieć i wytrwalej na straży ich stać może, bo go nie czaruje syrena zjawiskowości, talentu dramatycznego wierna kochanka. Stanowisko krytyka jest i ogólniejsze i stalsze i bardziej przedmiotowe. Wynika to z samej istoty tych sił, któremi każdy z nich działa. Dla autora siłą rozpędową jest *natchnienie*, pewna zdolność wytwarzania baśni i odwaga do przedstawiania nieskończonego w objawach swoich życia zawsze z jednej tylko strony lub w jednych tylko, dla krytycznego umysłu nigdy nie dość obszernych, ramach. Siłą krytyka jest *rozum* przez zestawianie wielu zjawisk przedzierający się do poznania jednego prawa lub zasady, tak w sztuce, jak w życiu. Działalność autorska prowadzi do czynu, bo czynem ducha jest wszelkie naśladowanie natury, wszelkie uplastycznianie myśli, wrażeń i uczuć w *człowieka*; działalność krytyczna kończy się zawsze na myśli: wrażenie, pojęcie lub zasada jest jej wypadkową. Autor w każdym razie wzbogaca sztukę, ilościowo przynajmniej, jeżeli nie jakościowo, na dziś, jeżeli nie na jutro; krytyk może być tylko dla sztukmistrzów ostrzegaczem na przyszłość, dla widzów przewodnikiem i doradcą—jeżeli jest rozumnym, uczciwym i — słuchanym. Bez autorów świat cywilizowany pojąć-by się nie dał; bez krytyków mógłby się obyć, ale na braku ich nie-by nie zyskał. Jak autorstwo, tak krytyka przychodzi na świat z własną swą siłą, z własnem swem prawem i własną potrzebą uzewnętrznienia się. Dopiero w nierozdzielności tworzenia i sądzenia powstaje literatura, dramatyczna tak dobrze, jak wszelka inna.

Niedawno p. Kazimierz Zalewski, wykładając publiczności *Kuryera Warszawskiego* pobudki, które go skłoniły do podjęcia się krytycznej oceny *Przyjaciółki* żon Edwarda Lubowskiego, napisał, że gdy potrzebuje zegarka, idzie do zegarmistrza. Robi bardzo dobrze p. Zalewski, że nie chodzi do kowala, ale ludzi się najzupełniej, jeżeli mniema, że autorowie dramatyczni są *urodzonymi* niejako krytykami dramatycznymi. Co innego jest samemu tworzyć, a co innego sądzić rzeczy przez innych tworzone. Na tory powołania krytycznego człowiek tworczy wtedy dopiero wchodzi, gdy sam tworzyć przestaje, gdy z żywej siły sztuki zaczyna stawać się zwierciadłem odbijającym tylko jej zjawiska. Przyjrzyjmy się dobrze, a poznamy, że każdy krytyk był niegdyś w Arkadyi, miał dni poetycznych natchnień, wybuchów, i marzeń, i tęsknot, i rwania się ku człowiekowi i ludzkości. Przyszły po tych dniach zimne powiewy i zwarzyły kwiecisty ogród; ale miłość miłością została: kocha się sztukę, głębszem może, szczerzem, bezinteresowniejszem uczuciem. Z duszą zwróconą ku sztuce i człowiekowi patrzy się w życie, szukając w niem ładu i piękna, odpychając brzydotę i zamęt, wytworząc syntezę istot, zjawisk i sił — nie zawsze trwałe, ale prawie zawsze męką rozumu opłacane. Ma krytyk wspólną z autorem umiejętność dostrzegania w człowieku tego, co w nim jest ze zwierzęcia i co jest z anioła. Tak samo, jak on, oddziela naturę od ducha i nie inaczej także w ciężkich zapasach myśli z rzeczywistością, która ją ogromem swoim przygniata, wieczny znak zapytania z przedmiotu na przedmiot, z miejsca na miejsce przerosi. Mądrość książkowa, naukę życia taksamo i u tychsamych źródeł, co i autor twórczy, zaczerpnąć musiał. Na dziełach natury i bezwiednego ducha, na dziełach umiętnych myśli ludzkiej, przez ciągle porównywanie mógł nawet lepiej od autora nauczyć się umiejętności sądu, choćby ułomnej, ale przez genową swą zawsze samoistnej, własnej, z własnego wnętrza wyprowadzonej. Jako człowiek jest on i wobec autora i wobec powszechności istot samoistną monadą, odbijającą w sobie świat, a więc i dzieło sztuki, na własny swój, oryginalny sposób. Stosunek twórczości, jako twierdzenia, do krytyki, jako przeczenia, ująć można w pojęcie siły niedbającej o prawidła i prawidłowości chwytającej siłę na gorącym uczynku wszystkiego, co

prawdzie, łaadowi i pięknu przeczy. Twórczość daje życie i ruch i samą krytykę do życia powołuje, a bez niej obć się może. Bliżej też jest autorowi twórczemu do krytyki, niż krytykowi do tworzenia. Dzieła umysłów krytycznych rzadkokiedy miewają wyższą wartość; gdy tymczasem krytyki autorów twórczych, byle nie podrzędnych, bywają często znakomite.

Tę niezdolność krytyki do tworzenia stwierdzić mieliśmy wszyscy sposobność na *Cieniu* (der Schatten) Pawła Lindau'a, głośnego, i nie bez zasługi głośnego, krytyka i estetyka berlińskiego. Sztuka jest przelewszystkiem słabą pod względem psychologicznym i przypomina zamek wzniesiony na kupce piasku, jakimi zabawiają się dzieci. Są w niej wybitne spostrzeżenia i pomysły, ale rozproszone, bez ciągłości; są dramatyczne momenta, ale bez dramatycznego zacięcia w całości; są bardzo piękne objawy charakterów, ale bez charakterów ściśle w sobie zwartych. Najlepszą jest sama bohaterka Edyta Mühlberg, znowu odmiana pokutującej Magdaleny; ale pozabawił ją Lindau uroku prawdziwej postaci tragicznej przez rozmyślnie uniemożliwienie jej starć dramatycznych z człowiekiem, który w lichocie swego charakteru przyniósł jej już przeznaczenie śmierci. Ten Henryk Baron von Brücken, ze-aiący się ze śpiewaczką operetkową, otrzymał od autora umyślnie powołanie do unieszczęśliwienia biednej Edyty, której czułość moralna, nieskazitelna czysta — ale nieprawdopodobna — wobec moralnego tchórzostwa Henryka musiała się koniecznie samobójstwem uwieńczyć. Przez swój charakter kobiecy *Cień* stanowi jakby odpowiedź na *Odwiedziny* Edwarda Brandesa. Tam pospolita kobieta, w danych już warunkach upadku, kochająca życie fizyczne nad wszystko, tutaj rzetelna bohaterka tragiczna, chociaż w pomysle tylko, nie w wykonaniu; rozwiązanie też musiało być biegunowo przeciwnem. W sztuce Lindau'a jest wiele rzeczy niepotrzebnych, i to jej bardzo szkodzi. Wielka a raczej mała publiczność będzie zawsze wołała *Korrespondencyą prywatną*, *Różowe domino* lub *Oj, mężczyźni*; ale myślący słuchacz mimo wszelkich a dużych błędów sztuki Lindau'a, wysłucha jej z zajęciem. Zacieka wi go, nie *Cień*, ale charakter Edyty i jej los. — Sztukę grano dobrze. Panna Marcello jako Edyta, ma prawo do najzupełniejszego uznania; nie szczędzono jej też oklasków. P. Zimajerówna za to wroli Elli Waldhofen dowiodła tylko, że na scenie dramatycznej niedaleko zajdzie. Lepiej się cofnąć, póki czas.

Co to jest Ciarach? To, w języku ludu, człowiek, który z niego wyszedł, ale przez fałszywą najczęściej oglądę i oświatę, od niego się oderwał i tylko, skłaniając się jeszcze wśród niegdyś różnych sobie, niechęć w nich obudza. Temu typowi człowieczeństwa nadał p. Galasiewicz, najlepszy dziś pisarz ludowy, panujący stanowisko, a od niego i tytuł, w nowej swej sztuce, nagrodzonej na konkursie *Echa Muzycznego*.

Rzecz dzieje się w Galicyi. Zamożny Bazyli Rysiak, dorobiwszy się pracą i zmyślnością pięknego mienia, skupuje coraz więcej ziemi, a jest tak chciwy na każdy mórg gruntu, że go aż „wilkiem ziemnym“ nazywają. Syn jego, Włodek, pokochał Halinę, córkę Tomasza Zgagi, gospodarza i wójta w tejsamej wsi. W pierwszym akcie już odbywają się zrzekowiny, ale małżeństwa z nich nie będzie. Bazyli położył Zgadze za warunek sprzedanie gruntu potrzebnego dla zaokrąglenia posiadłości w obszar dworski — cel ambicji dorobkowicza wiejskiego. Bogacz nie chce tego obszaru dla siebie, oddaje go odrazu zaślubić się mającej parze; ale Tomasz, podtrzymywany przez matkę żony, Agatę Sepową, nie chce słyszeć o sprzedaży nawet w takim celu — i zrywa małżeństwo. Zapomniał tylko, że Bazyli ma u niego paręset guldenów już wymagalnych a pieniędzy huk na skupienie krążących kwitków i wexli.

W II akcie grozi Zgadze subhastacya. Gdzie szukać ratunku, gdy Szmul, podbechtany przez Bazylego, odmówił? Zgaga już tonie. Deskę ratunku podaje mu pierwszy Ciarach, Gnacik, re-wizor bydła. Jako wójt, Tomasz ściągają podatki; Gnacik podrobił registr urzędowy i powpisywał wyższe kwoty: nie będzie żadnej nieuczciwości, jeżeli Zgaga ściągnię na razie więcej, a później

zwróci kassie gromadzkiej co nadebrał. Wójt pasuje się, walczy, w końcu ulega. Już go Gnacik ma, nietylko jego samego, ale i jego córkę, właśnie Włodkowi przeznaczoną Halinę; bo kochał ją jeszcze przed podniesieniem się zasłony w I akcie; tylko jako mruk milczał, krył w sobie, tłumił tę prawdziwie piekielną miłość.

W akcie II podczas przygotowań do przyjęcia delegata, przypominających *Cieżkie czasy* Bałuckiego, Zgaga dopełnia poboru podatku. Regestr prawdziwy poszedł do powiatu; sfalszowany zachował Gnacik u siebie pod dachem samego Zgagi, bo u niego mieszka. Akt kończy się tragicznie. Ze strzałami wiwatowymi na wieść o karacie delegackiej miesza się wystrzał mordercy: Bazyli pada ofiarą skrytobójstwa.

W akcie III-cim mamy już nowego ciaracha, nauczyciela wiejskiego, w miłutkiej scenie z siostrą Haliną Martą. Przybył on do wsi jeszcze w akcie II-gim i przedstawił się przewodniczącemu w dozorze szkolnym na kandydata: przyjęty, od trzech miesięcy już naucza dzieci, a jest dobrym duchem gminy. Z aktu tego znika trzeci ciarach Szczypawka, gajowy; ale zrobił już swoje w dwóch pierwszych, jako silnie czarny charakter. Tymczasem Gnacik nalega, a stara Agata, wiedząc o przestępstwie, pragnie wnukom swym ocalić ojca i wywiera nacisk na nieśczęśliwą Halinę. Nauczyciel chce wydobyć z dawnego kolegi szkolnego, dziś łotra, tajemnicę, której się domyśla. Dziewczyna podsłuchuje starego Zgagę i Gnacika: domysłami prześciga samą rzeczywistość i podejrzewa ojca o uczestnictwo w zamordowaniu Bazylego. W jednej chwili oddaje swą rękę Gnacikowi. Włodek wpada i, oczywiście, za krzywdę swoją nie myśli raczyć nikogo miodem.

W akcie IV-ym widzimy już Halinę w stroju ślubnym, a nastroju żałobnym. Pana młodego tylko patrzeć. Nauczyciel wiejski z kolegą swoim szkolnym, Leśniczym, radzi nad ratunkiem. Leśniczy porwuje Gnacikowi *corpus delicti*. Nagle wpada drab wiejski z fuzyjką—krucicą; znalazł ją w rowie. To brzoń Szczypawki, tą bronią zabił on Bazylego przez zemstę i chciwość, ale z pieniędzy jego nie skorzystał, bo je porwał był Gnacik, świadek czynu. Spowiedź spłoszonego sumienia zbrodniarza i dobrowolne wyznanie winy przez wójta kończą sztukę. Na ostatnią dopiero chwilę wpada o niczem niewiedzący pan młody. Ramię sprawiedliwości chwytą go szponami współsprawcy, gajowego Szczypawki. Oczywiście, że Halina i Włodek będą szczęśliwymi małżonkami, a do tej pary szczęśliwych przybędzie jeszcze i druga: ów nauczyciel, Grzegorz Paluch, i wdzięczne dziewczątka Marta.

Najlepszym w sztuce p. Galasiewicza jest jej styl. Takiego dyalogu prawdziwie ludowego, takiej doskonałej obserwacji życia, podstawę i dyalogowi i stylowi dającej, takiego odczucia i podsłuchania, jak tętni na wsi krew, jak drgają nerwy, jak poruszają się myśli i języki, — nie szukać w innych sztukach ludowych dzisiejszych, najnowszego stempla. Cała strona rodzajowa i rodzajowo-satyryczna życia wiejskiego — oile literatura przy pomocy sceny przedstawić ją może — jest wyborną. Ale rodzajowość i satyra nie stanowią jeszcze dramatu. Najlepiej zbudowanym, a jak się mówi w technice pisarskiej, *zrobionym* jest akt pierwszy. W innych są niezręczności architektoniczne, które tylko z manuskryptem w rękę wskazać można. Jako psycholog z urzędu autor przebrał miarę w zarożumiałości i powadze, którą, pisząc swą sztukę, nadymał Matusa Piastuna, jeżeli się nie mylę, owego przewodniczego w dozorze szkolnym: ani kandydat nie potrzebował tak odrazu się przedzierzgać dla zjednania sobie łaski, ani człowiek magistralny nie mógł uleść tak nagle czarowi nazwiska już niby wyższego, przerobionego z prostego „Palucha”. Przytem p. Galasiewicz dopuścił się bezwielkiego ośmieszenia instytucji, która sama z siebie tylko na pochwałę zasługuje. Historia sfalszowanego rejestru jakoś zbyt gładko się rozwija. Kto wie jak wieśniak każdy groźni ceni i pamięta dobrze co zapłacił, jeżeli już zapłacić musiał, — ten dziwić się będzie niesłychanej obojętności gromady na

pobór o tak znaczną sumę od rzeczywistego wyższy. Mąż zaufania, wójt, człowiek uczciwy, kochający ziemię swą, jak matkę najlepszą, miał inną drogę przed sobą otwartą: mógł odwołać się, nietylko do Szmula, ale do swych współobywateli. Dobrym jest pomysł nieprzymuszonej, szczerzej etycznej spowiedzi Zgagi w końcu aktu IV; ale dobrze, iż tej spowiedzi nie podsłuchiwał żaden prokurator, bo inaczej Zgaga, choćby nawet najdoskonalej oczyszczany przez żal i pokutę, poszedłby jeszcze wykapać się w więzieniu. Zarówno prawo pozytywne, jak i moralność, widzieć w nim mogą tylko człowieka zbrukanego. Miłą pamięć zostawia po sobie nauczyciel Grzegorz Paluch, a wcale dodatnie wrażenie jedności i sprężystości indywidualnej sprawia Bazyli Rysiak. Demonizm Gnacika i Szczypawki nie jest bynajmniej sztuczny: takich typów pełno po wsiach. Czy ukazywanie ich ludowi jest dobrem? To inna sprawa. Sztuka p. Galasiewicza jest powieścią dramatyzowaną raczej o ludzie, niż dla ludu. Dla sztuki dramatycznej najwyższą wartość w *Ciarachach* posiada Halina i można jej tylko powinszować p. Galasiewiczowi. I Włodek także dzielny chłop, tęga, choć uczuciowa, dusza. Zdaje mi się, że mógłby już teraz autor bez obawy wkroczyć i na normalny poziom sztuki obyczajowej współczesnej: niełatwo dałby się prześcignąć dzisiejszym naszym młodym siłom.

Lepszego wystawienia sztuki, niż w Wodewilu przez Towarzystwo poznańskie — żądać nie podobna. I szczegóły i całość sprawiały zupełne zadowolenie. Co za szkoda, że taki poważnie dramatyczny talent, jak p. Janowskiej, nie może się rozszerzyć, wzmocnić, pogłębić przez dostojniejszą scenę i dostojniejszą publiczność! Wstałem ognisku działalności nie braknie wprowadzić tego, co tu dostojnością nazywam, ale zbyt często, bardzo często, niestety, braknie samej publiczności. Gra p. Janowskiej w roli Haliny, córki Zgagi, była — nie waham się tego powiedzieć wobec stałej sceny tutejszej — doskonałą. Ruchy, mimika, głos zrozpaczonej kobiety czyniły zadość wszelkim wymaganiom sztuki szlachetnej: dawały prawdę a głębokością jej wzruszały. W niewiele stosunkowo słowach zamknięta rola starej Agaty znalazła w pani Królikowskiej wyborną przedstawicielkę. Publiczność nie zwracała na nią należytej uwagi; krytyka niech za nią i za siebie odda artystce co się jej należy. P. Siedlecki potrzebuje jeszcze Tomasza Zgagę wygłodzić, a p. Popławski lepiej ześrodkować w sobie Gnacika. Rysiak (p. Skirmunt), dalej ów przewodniczący w dozorze szkolnym, wreszcie Paluch (pan Janowski) każdy w swym rodzaju zrobił wszystko, czego mógł autor chcieć od roli. Dobrze były nawet te Zawiały, te Krzyki te Płotki. Musiałbym wszystkich nieledwie wyliczyć, aby każdemu z osobna podziękować za miłe wrażenie, jakie mi sprawiła gra artystów poznańskich.

Stanisław Krzemiński.

SIOSTRZYCZKA UBOGICH.

W angielskim czasopiśmie „The Fortnightly Review” wyszła powiastka p. t. *Legenda pani Krasińskiej*. Fantazja bardzo niepospolitego autora czy autorki, przysłoniętej głośnie już dziś pseudonimem Vernon Lee, zapożyczyła się do wolnie u nas, upatrując chyba tylko eufoniczny dźwięk brzmienia w nazwisku Krasińskich.

Podczas, gdy we Francji wierność rzeczywistości posuwa się aż do realizmu i materjalizmu, powieściopisarze wyspiarscy przesadzają się w szalonych pomysłach, w nieprawdopodobieństwach i wyskokach nieokiełznanej wyobraźni. Oto nowa próbka takiej fantastyczności, mającej przecież na usprawiedliwienie swoje wybitny talent pisarski.

Pewnego dnia szczególniejsze wrażenie sprawiła na mnie zakonnica zgromadzenia Siostrzyczek Ubogich. Przyjaciół mój, Cecco Bandini, zabrał mnie z sobą do ich klasztoru, gdzie pragnął umieścić staruszkę będącą doniedawna odzwierciadłem przy jego pracowni. Pokazało się, oczywiście, iż bez mej pomocy mógł doskonale własny załatwić interes. Zostawiłem go tedy w rozmownicy z matką Przełożoną, sam zaś poprosiłem, aby mnie kto raczył oprowadzić po zakładzie. O zakonnicy, którą mi za przewodniczkę dano, pragnę dziś pomówić.

Smukła była ona i wyniosłej postaci. Kibic jej i ruchy uderzały rzadkim wdziękiem i żywością niemal dzieciną. Szybko przebiegała schody i sale, pokazując mi wszystkie urządzenia wewnętrzne przytułku. Twarz jej dziwnie wraziła mi się w umysł. Znalazłem w niej wykwinność Amerykankom właściwą. Bardzo to jeszcze było młode i śliczne oblicze, a jednak wyraz jego uderzał już pewną tragicznością. Przeczynałaś, iż pod zakonną osłoną włosy przedwcześnie zbileć musiały. Ale dramat życiowy, jakkolwiek się w jej losach rozegrał, przeminął bezpowrotnie, a został tylko w oczach ślad męki, w ustach słodycz niezrównana, zwłaszcza, gdy się odzywała do ubogiej rzeszy rozbitków, garnących się ku jej serdecznej opiece w różnych zakątkach ogrodu czy domu.

Odpowiadała urywkowo na liczne moje pytania, i wogóle nierała przerywała milczenie. Raz tylko, gdy wyrzucił podziw dla instytucji, która setki starców wyżywić zdoła resztkami ze stołów dostatniejszych spadającymi, podniosła na mnie oczy płonące spóścieniem i zawołała głosem pełnym rzewnego politowania:

— Ach! starzy, biedni starzy! ich los o tyle cięższym i trudniejszym od innych. Czyż można sobie wystawić coś opłakaniejszego nad starość opuszczoną, głodną, nieszczęśliwą!

Słowa te, oraz dziwne załamanie jej głosu, niezwykły w oczach zapal, w pamięci mi nadługo pozostały. Jakież było moje zdziwienie, gdy za powrotem do obszernej kuchni zakładu, gdzie na mnie czekał przyjaciel, spostrzegłem, iż moja przewodniczka najwyraźniej drgnęła na widok Bandiniego. I Cecco po chwili się zmieszał: widocznie ona prędzej go poznała, aniżeli on sobie zdał sprawę z dawnej znajomości. Jakiż węzeł mógł istnieć między moim oryginalnym malarzem, a tą spokojną i słodką, acz pełną tragicznego wyrazu, Siostrzyczką Ubogich?

Po tygodniu Cecco Bandini przyszedł sam wytłumaczyć mi tajemnicę, dodając, iż tak jego, jak i osoby głównie w tej opowieści występującej jest życzeniem, abym bez komentarzy powtórzył i spisał, co usłyszę, zostawiając czytelnikowi sąd i zdanie o prawdopodobieństwie przywiedzionych wypadków. Jak się z tego zadania wywiązałem, czytelnik osądzi.

I.

Cecco Bandini dopiero-co powrócił z Marem, dokąd się chronił wśród samotnych bagien i zarosli, ilekroć mu złość i głupota cywilizowanego świata zanadto dały się we znaki. Kilka miesięcy spędzonych zdala od ludzi, w towarzystwie przyrody i dzikich trzód odynców i bawołów, wracały mu zawsze chwilowo zatracony smak cywilizacji i wzmacniały poczucie malowniczości i oryginalności wszystkiego, co ludzkie. Znajdował się on w tym właśnie stanie podniecenia wrażliwości nerwowej, gdy zapukano zlekka do jego pracowni i dwie panie ukazały się w progu. Jedna z nich była mu nieznaną, druga zaliczała się do rzędu nielicznych wielkoświatowych stosunków Bandiniego.

— Czemuś mnie dotąd nie odwiedził, nieprzejednany odludku? — zawołała podając mu rękę z wesołą swobodą, a rzuciwszy się na dywan rozścielony opodał, dodała:

— Przyprowadziłam ze sobą swoją przyjaciółkę, panią Krasińską, ażeby jej pokazać twoje rysunki — poczem jęła parasolką przewracać stos kartonów niedbale ułożonych na ziemi,

Baronowa Fosca była jedną z najrozumniejszych, ale i najruchliwszych dam Florencji w owej chwili. Kochała się w sztuce, miała słabość do niczem nie krępowanej szczerości słowa. W oczach Bandiniego uosabiała typ skończony nowoczesnej Lukrecji Borgii, oswojonej pantery życia światowego.

— Jakże zajmującą jest jednak cywilizacja! — powtarzał sobie w duszy artysta, patrząc na to pełne zjawisko kobiece. — Doprawdy, możnaby całe lata mieszkać wśród dzikich osadników Marem, a nie spotkać ani razu istoty równie niepokojącej, niebezpiecznej, oryginalnej a potężnej.

Cecco tak się zajął baronową, która w gruncie rzeczy bynajmniej nie była Lukrecją Borgią, lecz doskonałym okazem czczości i próżności światowej, że zrazu wcale na jej towarzyszkę nie zważał. Zaledwie sobie zdał sprawę, iż była ona i młodą i ładną i wytwornie ubraną. Ukłonił jej się, podał krzesło i sam zasiadł naprzeciw młodej Lukrecji, a ta tymczasem tłumaczyła mu, iż zamierza dać u siebie bal kostiumowy, który będzie najświetniejszą zabawą bieżącej zimy.

— W takim razie — rzekł malarz, zapalając się do tej myśli — pozwól pani, że obmyślę i wymaluję dla niej strój charakterystyczny, cały czarny, biały i zielony; wystąpię jako motyl nocny, Belladonna Atropa.

— Belladonna Atropa!.. ani mi się śnił nigdy na to nie przystań; lepsze mam koncepta od twoich — odpowiedziała, śmiejąc się, Baronowa, gdy w tem uwagę Bandiniego zwróciła ku sobie druga pani, która nagłym okrzykiem przerwała ciche dotąd oglądanie szkiców artysty.

— Powiedz mi pan coś o niej, czy doprawdy jest waryatką? — pytała pani Krasieńska, wskazując na rysunek zlekka wodnemi farbami podmalowany.

— Coż tam odkryła? Ach! to tylko Sora Lena — rzekła baronowa niedbale.

— Opowiedzcie mi o niej wszystko... któż to jest owa Sora Lena? — prosiła usilnie pani Krasieńska.

Mówiła po francuzku, ale z miłym amerykańskim akcentem, pomimo swego polskiego nazwiska. Sliczną się w tej chwili wydała malarzowi. Jeśli tamta uosabiała dlań włoskie kobiece wdzięki i przewrotność, ta była typem skończonym młodości i wykwiśniętości.

— Nieraz ją spotykałam — mówiła dzwicznym głosem — to obłąkana, nieprawdaż? Jakże się ona właściwie nazywa?

Cecco był zachwycony.

— Jakaż to prawda — mówił do siebie — iż tylko zbytek, wytworność i dobre wychowanie dają zmysł prawdziwego społecznia. Każda kobieta z innego świata i stanu byłaby tylko śmiechem powitała ten właśnie rysunek.

— Chcesz pani poznać dzieje nieszczęśliwej Sory Leny? — spytał Cecco, odbierając szkic z ręki pani Krasieńskiej i spoglądając na rozciekawioną twarzyczkę młodej kobiety.

Szkic z takim podziwem powitany przez jedną z pań mógł uchodzić za karykaturę. Ktokolwiek jednak w ciągu ostatnich siedmiu lat, choćby przez tydzień, zatrzymał się we Florencji, od razu rozpoznawał wizerunek pełen wierności. Sora Lena, czyli właściwie mówiąc Signora Maddalena, oddawna zrosła się z miastem, stanowiąc dziwaczne a stałe zjawisko, wiecznie błakające się po ulicach Florencji. O jakiegokolwiek porze, w pogodę, czy słotę, niechybnie spotkać było można tę starą, sterłą kobietę, o nieprzysłannym spojrzeniu i wywiedlęm obliczu, w stroju, który przed trzydziestu laty był modnym, a więc: w olbrzymiej krynolinie, na której się opinały jej łachmany, w upiętym kapeluszu, sznystym zarękawku lub parasolu, — a wszystko to niemożliwie brudne i podarte. Szła, nie zważając na żarty i zaczepki uliczników, które się zresztą z czasem wyczerpywały, nie bacząc na słotę, która jeszcze gorzej uwydatniała jej nędzę, jakgdyby zachodziło jakieś ścisłe powinowactwo między błotem, wichrem i deszczem a tym skołatany rozbitkiem niedoli życia.

— Chcesz pani poznać dzieje Sory Leny? — powtórzył Cecco w zadumie, przyrównując losy obu kobiet, tej, która przed nim stała w uroku

młodości, i tej drugiej, uwiecznionej jego ołówkiem. Zkąd ten pociąg wzajemny, który się między dwiema tak różnemi istotami zawiązał? — Jak dawno po naszym błąka się ona mieście? Doprawdy nie pamiętam ulic Florencji bez tej smutnej i śmiesznej postaci. Zdaje się, jak gdyby zawsze tu znajdować się musiała, zarówno z głazami bruku, z oliwkowemi nad drogą drzewami. Ależ ostatecznie musiała nawet ona mieć kiedyś początek swej włóczęgi. Opowiadają, że ongi była przytomną i zdrową, że miała dwóch synów, ochotników armii włoskiej, którzy ją pożegnali w r. 1859 i obydwa pod Solferino zginęli. Odtąd co dnia, zimą czy latem, nakłada swe odświętne szaty i wychodzi na ich spotkanie. Nie wiem, ile w tej opowieści czy legendzie jest prawdy, ale w każdym razie, wygląda to prawdopodobnie.

Baronowa zaśmiała się wesoło:

— Moja towarzysza umiera z żądzy posiadania jednego z twych szkiców, maestro Bandini, ale nadto jest grzeczną, aby się o ich cenę dopytwać.

Pani Krasieńska zarumieniła się po uszy i wyglądała jeszcze młodziej w tej chwili i czarowniej.

— Nie byłam pewną, czy pan zechcesz się rozłączyć z którym z swych rysunków, a ten właśnie najchętniej byłabym... kupić chciała.

Cecco roześmiał się wobec widocznego zakłopotania młodej pani.

— Biedna istotka — pomyślał w duszy, — w jej sferze kobiety o jednej tylko sprzedaży wiedzy, a to o własnej, gdy zamaż wychodzą.

— Musisz pani wytłumaczyć swej przyjaciółce — rzekł Cecco do baronowej, że takie drobnotki nie mogą być kupowane ani płacone, że nawet ubogiemu malarzowi niewolno tak lichy ofiary składać u stóp piękności, chyba... — i tu podał pani Krasieńskiej starannie w czysty papier zawinięty rysunek — chyba, że pani sama zechcesz łaskawie tak drobną przyjąć daninę.

— Dziękuję stokrotnie — rzekła pani Krasieńska, ściskając rękę artysty delikatną swą dłonią. — Nieocenioną wartością ma dla mnie ten niezmiernie uderzający rysunek.

— Biedna Sora Lena! — zawołał Cecco, gdy się znów znalazł osamotniony w pracowni swojej. owiany czarem świeżych a uroczych odwiedzin; a myśl jego połączyła obraz wstrętnej starej żebraczki z wytworną elegancją futrzanego zarękawka, w który pani Krasieńska wsunęła szkie uprzejmie przez artystę sobie ofiarowany.

II.

W dwa tygodnie później całe miasto brzmiało przygotowaniami na balu baronowej Fosca. Wszystkich proszono o dobranie sobie jaknajmniejszych strojów. Znalazło się jednak sporo gości, którzy wyprosił się od kostiumu, a między nimi i Cecco Bandini. Mniemał on zresztą, iż jego stary frak, oddawna z modą skłócony, a służący mu za mundur galowy na ślubach przyjaciół i krewnych, już sam przez się stanowił dość rzetelny kostium.

Świadomość ta nie mąciła mu bynajmniej zabawy. Owszem, znajdował szczególniejszy urok w tem zgłębku towarzyskim, gdzie niemal żadnego nie odnajdywał znajomego. Przechadzał się bezpiecznie w tłumie, jakoby osłonięty niewidzialnym płaszczem; tu i owdzie pochwytywał odłamy miłosnych rozmów lub intryg, dla reszty świata utajonych, i miał wrażenie jakoby na razie otrzymał dar rozumienia mowy ptaków, niedostępną dla prostych śmiertelników.

Zwolna zaczęły się napełniać złocone komnaty. Wśród rosnącego ścisła zmysł postrzegawczy artysty jeszcze się zaostrozył. Na razie zakłęty przed nim przesunął się obraz fantastycznych pastery i pasterek, Japończyków i Chińczyków, ludzkich istot ucharakteryzowanych jako ptaki lub kwiaty. Znalazły się tam stroje mniej szczegółliwie wybrane i dobrane. Po niejakić chwili można się było przysycić maryonetkami, butelkami wina, laskami czerwonego laku. Dwaj młodzieńcy przebrani, jeden za baletniczkę, drugi za mam-

kę z niemowlęciem, niemile uderzyli oko artysty. Nie mniej zraził go strój panienki uosabiającej własną babunię, której portret zdobił salę jadalną a okulary uieraz Bandini w swych młodych latach podnosił. Ale to były podrzędne szczegóły. Całość przedstawiała się wspaniale, fantastycznie. To też Cecco nie opuszczał sali, niesiony falą uprzejmie cisnącego się tłumu, olśniony blaskiem pięknych oczu, jarzących świecideł i klejnotów, zgłuszony szmerem przyciszonych rozmów, szelestem poruszanych zlekka wachlarzy, dźwiękiem rozkołysanej muzyki, a przytem upojony wonią kwiatów i perfum.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Fiziologia gąbek. — Środek przeciwko cholercie. — Badania nad marzeniami sennymi — Strychnina przeciwko pijactwu. — Woda jako przewodnik elektryczności. — Nowy szczepek ludzi dzikich. — Nowy karabin Giffarda.

Znany badacz zwierząt jamochłonnych, dr. Lendenfeld, ogłosił przed niedawnym czasem wyniki swych badań nad fiziologią gąbek.

Ażeby zrozumieć doświadczenia Lendenfelda, wypada, chociażby w ogólnych zarysach, zapoznać się z budową tych najniższych istot grupy jamochłonnych (Coelenterata). Gąbka w najpierwotniejszej postaci przedstawia się jako woreczek opatrzone szerokim otworem w swej części górnej, podstawa zaś przymocowana jest do jakiegoś przedmiotu podwodnego. Ścianki woreczka gąbkowego składają się zazwyczaj z trzech warstw: a) skóry, b) warstwy środkowej i c) błony wyściełającej wnętrze jamy trawiącej. Ta ostatnia przedstawia się w postaci sita, jest bowiem zaopatrzona w liczne otwory, które zowią porami. Nie będziemy podawali tu bardziej szczegółowego opisu budowy gąbek; powiemy tylko, że u wyższych gatunków znajdują się liczne otworki, prowadzące do kanałów przywodzących, które otwierają się do komór migawkowych, rozgałęziających się drzewiasto; z tych komór wychodzą tu t. z. kanały odwodzące, otwierające się do jamy wewnętrznej, która posiada jeden otwór zwany osculum. Prócz tego nadmienić wypada, iż komórki wewnętrzne, zwane kołnierzykowatemi, opatrzone są w długi biczyk, u którego nasady znajduje się kielichowata błonka plazmatyczna.

Teraz zobaczmy: w jaki sposób gąbka tak zbudowana odżywia się. Rozumie się, że żywienie jej stanowią te części stałe, które w sobie zawiera woda. Otóż ów biczyk wykonywa bezustanne ruchy w pewnym stałym kierunku, skutkiem czego wpada woda do komór kanałami przywodzącemi, uchodzi zaś z nich kanałami odwodzącemi do jamy trawiącej, a ztąd za pośrednictwem owego osculum zostaje wydaloną na zewnątrz. W czasie przepływu wody komórki kołnierzykowe chwytają z niej części pożywe i w ten właśnie sposób odbywa się żywienie gąbki.

Lendenfeld karmił 18 gatunków gąbek karmieniem, krochmalem i mlekiem w następujący sposób: Małe gąbeczki umieszczał w akwaryach, których woda za pośrednictwem prądu powietrza utrzymywana była w ciągłym ruchu, skutkiem czego cząsteczki karminu i krochmalu, nie opadały na dno naczyń, lecz bezustannie krążyły w wodzie. Gąbki pozostawiał L. w takiej wodzie od 1½ do 36 godzin, poczem je zabijał i wprowadzał w stan stwardnienia, albo też przedtem pozostawiał jeszcze na 2½ do 76 godzin w wodzie morskiej, a dopiero potem zabijał. Następnie przyrządzał z nich skrawki,

które mogły być badane pod mikroskopem. Doświadczenia tego rodzaju wykazały, że w początkach ziarenka krochmalu i karminu nie wnika do jamy pokarmowej, albowiem, drażniąc otworki, powodują ich zamykanie się. Dopiero po upływie pewnego czasu, gdy wrażliwość ich stała się mniejszą, t. j. gdy się przyzwyczaiły do tych ciał, liczne ziarenka wraz z wodą wpadały do wnętrza i tu wchłaniane były przez komórki kołnierzykowate. Kulki tłuszczowe z mleka ulegały również wchłonięciu i roznoszone potem były po całym ciele gąbki.

Prócz powyższych doświadczeń badał także Lendenfeld wpływ różnych trucizn na gąbki, a mianowicie: morfiny, strychniny, digitaliny, weratryny, kokainy i kurary w rozcieńczeniach od 1:15.000 do 1:100. Doświadczenia te wykazały, że trucizny spowodowują zamykanie się porów skórnych i skurcz powierzchownych części ciała gąbki. Głównie kurcząco działa na nie strychnina, nawet już w roztworze 1:15.000. Pod działaniem tych trucizn spada nabłonek, dalej bicz podlega skrzywieniu, następuje silne skurczenie się komórek, które utracają swój kształt. Z doświadczeń tych Lendenfeld wyprowadził następujące wnioski: Przyjmowanie pokarmów odbywa się, nie na zewnętrznej powierzchni, lecz we wnętrzu ciała gąbki, wchłanianie zaś dzieje się za pośrednictwem komórek kołnierzykowych, przyczem części pożywne zostają zatrzymane w ciele (kulki mleczne), niepożywne zaś ulegają wydaleniu nazewnątrz.

Działanie trucizn jest podobne do tego, jakiego doznają mięśnie wyższych zwierząt, zaopatrzonych we włókna nerwowe. Ztąd Lendenfeld przypuszcza, że gąbki posiadają także i komórki nerwowe, które powodują kurczenie się.

Badania tego rodzaju przedstawiają dla nauki niezmierną doniosłość, gdyż na wyższych zwierzętach przeprowadzenie ich przedstawia bardzo wielkie trudności. Ponieważ zaś wszystkie istoty składają się z komórek mniej więcej do siebie podobnych, zatem jedynie na tej drodze może być rozwiązanych bardzo wiele zagadek przyrody.

w choleryce żadnych pobocznych następstw. Salol dotąd stosowany był jako środek silnie dezinfekcyjny i jako taki znalazł szerokie zastosowanie w chorobach zakaźnych, głównie zaś w tyfusie brzuszny, w ospie i w ostrym, a także w przewlekłym reumatyzmie. Już przed trzema laty D-r Loewenthal na posiedzeniu Akademii paryskiej wygłosił swoje spostrzeżenia nad działaniem salolu w choleryce azjatyckiej. Wtedy akademia paryska, nietylko przyznała środkowi temu specyficznie działanie na laseczniki cholery, lecz wystarała się dla D-ra Loewenthala u rządu o odpowiedni fundusz na dalsze studia w kolebce cholery, w Indjach Wschodnich, gdzie stwierdzono dowodnie lecznicze działanie salolu w tej chorobie. Dzięki zatem naszemu uczonemu cierpiąca ludzkość posiadać będzie środek przeciwko jednej z najstraszniejszych chorób.

Mało posiadaliśmy dotąd danych, któreby odpowiadały obecnym wymaganiom nauki w przedmiocie marzeń sennych. Lekarz J. Nelsen z Nowego Yorku zebrał przeszło 4.000 notat z własnych marzeń—i oto jakie z nich ogłasza rezultaty. Śny wieczorne wydarzają się tylko po bardzo znacznych fizycznych albo umysłowych wysiłkach i wiążą się z faktami, jakie miały miejsce podczas dnia. Po silnych pobudzeniach nerwowych zawsze prawie przybierają straszliwe formy. Najszczególniejsze i zarazem najdziwniejsze rzeczy śnią się nad ranem, t. j. wtenczas gdy mózg już w zupełności wypoczął. Wówczas bowiem fantazja posiada najobszerniejsze pole do działania i buja sobie swobodnie po niezmierzonych przestworach. Zwłaszcza charakterystycznymi są dla snów nad ranem szczególnego rodzaju przemiany osób, niezwykła ich wyrazistość i żywość, z jaką sobie taki sen zwykle przypominamy, oraz dziwne nieraz przeczucie zjawisk, coś jakby w rodzaju jasnowidzenia. Następnie zauważył Nelsen, że żywość snów odpowiada pewnym wahaniom 28-dniowym (zarówno u mężczyzn jak i u kobiet), a także, że wahania zachodzą regularnie podczas pór roku, tak, że

w Marcu i Kwietniu żywość snów jest najmniejszą, a w Grudniu największą. Stary przesąd ludowy przypisuje osobliwe znaczenie snom podczas „nocy dwunastu świętych“ (od 25-go Grudnia do 6-go Stycznia) prawdopodobnie dlatego, że w tej porze roku sny występują wyraźniej i żywiej, niż w innych.

D-r E. Pambror przytacza 7 przypadków alkoholizmu leczonych strychniną i wyciąga z nich następujące wnioski. Strychnina jest pewnym środkiem przeciwko przewlekłemu zatruciu alkoholem, przyczem usunięta być może skłonność do pijaństwa, a paroxyzmy obłądzenia opilego (delirium tremens) zdają się również ustępować pod leczeniem strychniną. Kuracja jednakże musi być prowadzona systematycznie, konsekwentnie i przez czas dłuższy. Podczas leczenia środki zapobiegające używaniu wyskoku są zbyt niebezpieczne, gdyż chory sam przestaje pić. Niepodobna dotąd rozstrzygnąć kwestyi: czy strychnina raz nazawsze usuwa popęd do nałogowego pijaństwa, czy też po pewnym czasie powraca on nanowo; niepewność ta jednakże nie powinna zniechęcać do stosowania zalecanego środka—szkoda tylko, że kuracja taka może być zarządzaona tylko przez lekarza i prowadzona pod jego bezustanną kontrolą.

Jeżeli środek podany przez p. Pambror'a jest w samej rzeczy skutecznym, to odkrycie jego będzie miało niezmierną doniosłość, albowiem uda się może przynajmniej w części wytepić plagę nurtującą dziś wszystkie społeczeństwa.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 9-ty Tomu II-go powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt IX-ty wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Kołatanie serca, kompot, kompres, konfitury, konserwa, konwalija, kończyń, kora, korzenie, kosmetyki, koszula, kości, krążenie, krew, kręgi, krocień v. krotón, kroplomierz, krtień, krwotok, i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Powinność (fantazja), przez J. Nitowskiego. — **Drugie Pokolenie.** Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — **Nowiny Paryżkie** (dokoń). — **Przegląd teatralny**, przez Stanisława Krzemińskiego. — **Siostrzyczka ubogich.** — **Z działu przyrody.** Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. J. S.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty Tomu 2-go powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — **Przegląd mód.** — 34 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Serweta z haftem.

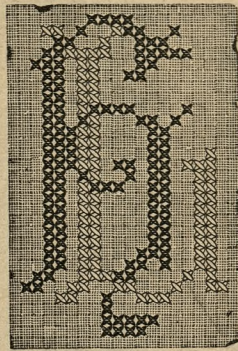
Ryc. Nr 7 i 8 w Bl. Nr 29. (Deseń 1-a str. tabl. Nr X, fig. 39).

Serweta z białej angielskiej skóry, mająca 75 cent. w kwadrat, obszyta haftem naśladowującym koronkę i ozdobiona haftem w narożnikach. Fig. 39 przedstawia połowę haftu narożnika wykonanego jedwabiem piaskowego koloru, atłaskiem, gałazkowym ściegiem, oraz długimi ściegami złotą nitką. Szlak wykonać podług fig. 8, piaskowego koloru jedwabiem, łańcuszkowym, plecionym, smyrneńskim i dziergany, oraz pocztowym ściegiem, punkciaki i krzyżyki wykonać złotymi nićmi.

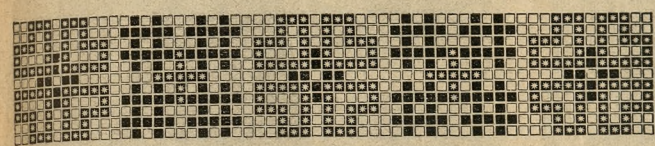
Serweta na stoł.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 29 (krzyżowa i szydełkowa robota do Nr 21, oraz Nr 30 w Bl. Nr 28).

Serweta, mająca 146 cen. dług. a 43 cen. szer. prócz szlaku, składa się z tła na



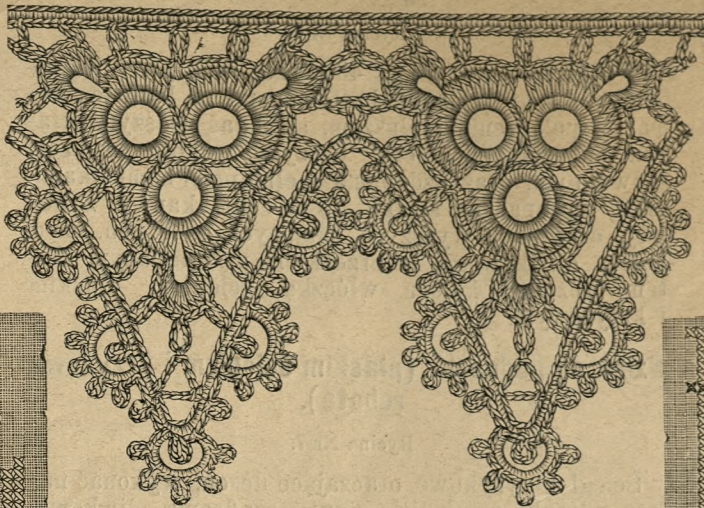
Nr 2. Znak haftowany (krzyżowa robota).



Nr 4. Szlak do ozdoby fartuszków i t. d. (krzyżowa robota).

32 cen. szer. z żółtawej kanwy „congrès,” do której z obu stron przszyty jest pas z gęstego materiału białego i niebieskiego na 5½ cent. szer. Na kanwie wykonać podług wzoru Nr 21 haft, krzyżowym i płaskim ściegiem oraz pocztowym, bawełną białą i niebieską do cienia. Poprzeczne brzegi ozdobione są szydełkową koronką z żółtawej bawełny oraz kwastami. Koronka składa się z pojedynczych figur spojonych z sobą i obrobionych w górnym brzegu kilkoma kolejami roboty.

Ryc. Nr 30 przedstawia naturalnej wielkości figurę. 1 kolej: 8 pow. ocz., na tychże oczkach z powrotem, najbliższe oczko opuścić, 1 ścis. ocz., 4 słup., 1 śc. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w następne 7 ocz., i jeszcze 5 listków takich samych. — 2 kolej: 8 śc. łańc. ocz. w wolne żyłki pierwszych 8 pow. ocz. poprzedniej kolei, 6 razy naprzemian: 9 pow. ocz., 1 śc. ocz. w luk poprzedniego listka. — 3 kolej: 6 razy naprzemian: 12 ścis. ocz.



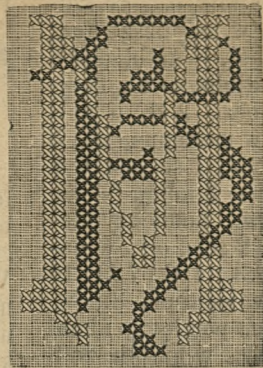
Nr 1. Koronka (szydełkowa robota).

w najbliższe 9 pow. ocz., 1 śc. ocz. w 1 śc. ocz. tej kolei. — 4 kolej: (robotę odwrócić i na tych samych oczkach z powrotem: ciągle po 1 ścis. ocz. w tylną żyłkę najbliższego oczka, w końcu 1 śc. ocz. łań. w 1 ścis. ocz. tej kolei. — 5 kolej: Rob. odwr., * 1 ścis. ocz. w najbliższe oczko, na 1 pikot 2 ścis. ocz., między niemi 3 pow. ocz. w następne oczko, 3 razy naprzemian 2 ścisłe oczka w 2 najbliższe oczko, 1 pikot w następne oczko, 1 ścis. oczko w następne oczko, od * 5 razy powtórzyć, ale przy 2-iem powtórzeniu należy zamiast dru-

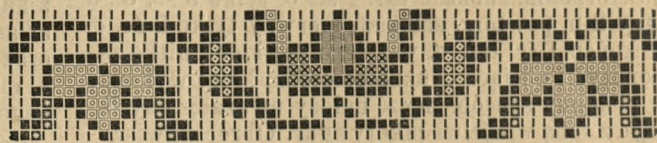
giego pikotu wykonać 1 ścis. ocz. w najbliższe oczko i 12 pow. ocz., połączyć z pikotem trzecim od końca, 16 ścis. ocz. w 12 pow. ocz. i 1 śc. ocz. w to same ocz., w którym zrobione było o. śc. przed 12 pow. o., wtedy robotę odwr., 16 śc. o. w tylne żyłki poprzednich 16 śc. o., 1 śc. o. w 1 śc. o., robotę odwr., 1 pik. w najbl. śc. o., 5 razy naprzemian 2 ścis. o. w najbliższe 2 o., 1 pikot w następne oczko, 1 śc. łań. oczko w ścisłe oczko, które po 16 ścisłych oczkach wyko-

nanem było, i dalej 5 kolej, w końcu 1 śc. ocz. w 1 ścis. ocz. tej kolei. Na tem kończy się jedna figura, a żeby je spoić, należy 2 i 3 pikot czwartej gwiazdki połączyć z 3 i 2 pikotem pierwszej poprzedniej figury.

Górny szlaczek. 1 kolej: 1 słup. w 2 pikot 5 gwiazdki najbliższej figury, * 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 2 z rzędu pikot, 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w najbliższy pikot, 5 pow. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu pikot, 3 pow. ocz., 1 pikot naodwrot (5 pow. o.,



Nr 3. Znak haftowany (krzyżowa robota).

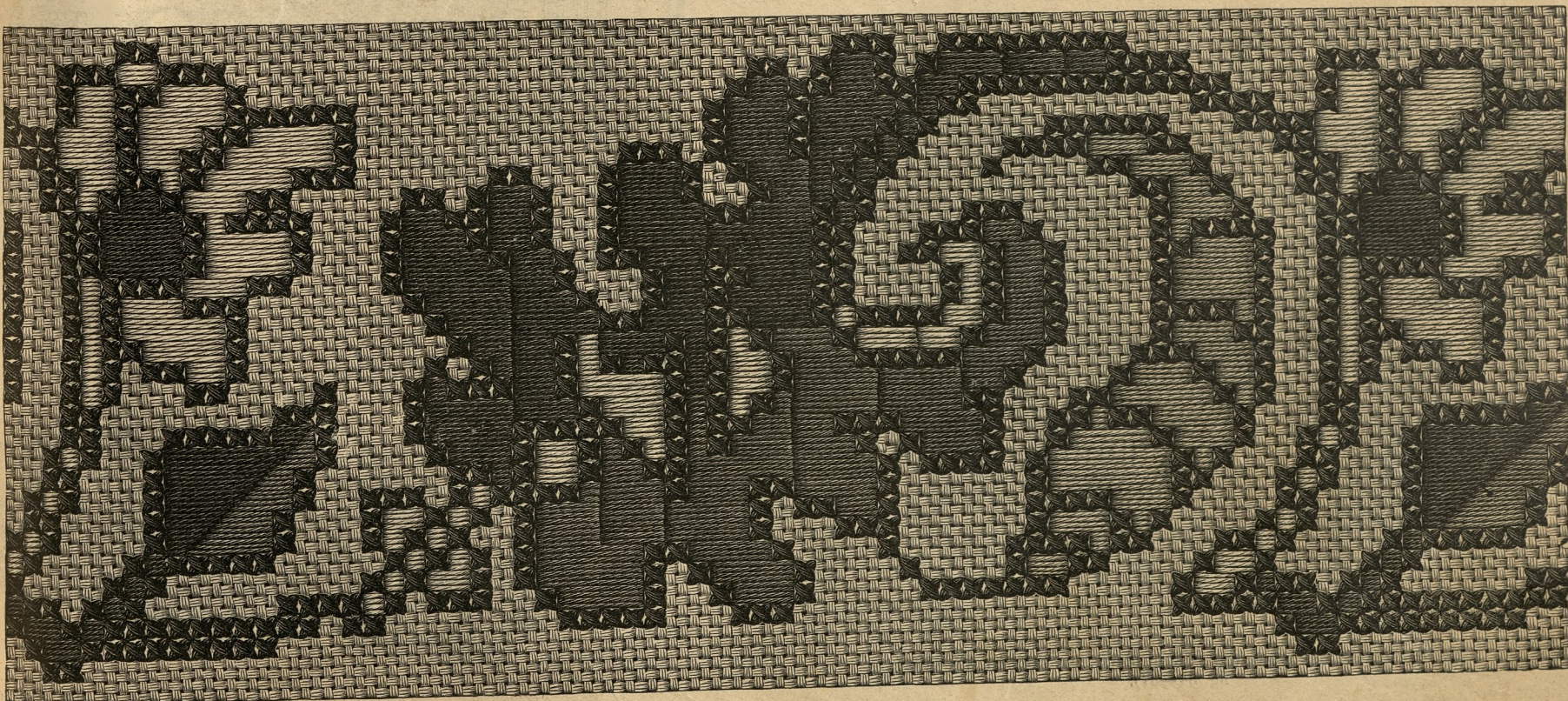


Nr 5. Deseń wąskiego szlaczku do poduszki Nr 6. Objaśnienie znaków: ■ ciemno-ponosowy, * ciemno-szafirowy, □ jasno-niebieski, □ brązowy, □ oliwkowy, □ miedziany, ' tło (krzyżowa robota).



Nr 6. Poduszka do męskiego gabinetu (atłaskiem i krzyżową robotą do Nr 5 i 7).

spuścić oczko z szydełka, włożyć je w 1 z 5 pow. ocz. i przeciąga przez nie spuszczone ocz.), 7 pow. ocz., 3 pikoty odwrotnie, łącząc środkowy z następnym pikotem pierwszej figury, 6 z poprzednich 7 pow. ocz. połączyć, 1 pow. ocz., 3 pikoty odwrotnie, łącząc środkowy z drugim z rzędu pikotem najbliższej figury, i z pojedynczym pow. ocz. poprzednio wykonanym, 3 pow. oczka połączyć z 3 i 7 pow. ocz., 2 pow. oczka, 1 pikot odwrotnie, 3 pow. ocz., 1 słupek w najbliższe oczko, od * powtórzyć. — 2 kolej: 1 ścisłe oczko w każde oczko. — 3 kolej: Naprzemian 1 słupek w drugie z rzędu oczek, 1 powietrzne oczko. — 4 kolej: Naprzemian 5 ścisłych oczek w następne 5 oczek, 1 pikot. — W końcu przyszyć szlak do serwety i ozdobić kwastami.



Nr 7. Szeroki szlak do poduszki Nr 6 (atłaskiem i krzyżową robotą).

Koronka (szydełkowa robota).

Rycina Nr 1.

Koronka wykonana krętą kremową bawełną, składa się z pojedynczych figur połączonych z sobą za pomocą kilku rzędów roboty. Okręcić paleczkę 2 cent. obwodu, mającą 10 razy nitką i w to kółeczko 30 śc. ocz., 1 śc. lań. ocz. w 1 śc. ocz. umocować nitkę i obciąć. Wykonać jeszcze dwa podobne kółeczka i połączyć je. W końcu w ostatnim lań. ocz. 3-go dolnego kółeczka wykonać około 3 kółek.—1 kolej: 3 p. o., 6 śł. w najbliż. 6 ocz., 2 razy 2 śł. 2 o., 3 pow. o., 2 razy po 2 śłup. w najbliższe 2 o., 7 śł. w następne 7 o., 1 pow. o. opuścić 3 najbliż. o. 2-go kółka, 8 śł. w nast. 8 ocz., 2 śł. w najbliższe ocz., 3 pow. ocz., 2 śł. w nast. ocz., 6 śł. w najbliższe 6 ocz., 1 pow. ocz., 3 wolne ocz. najbliższe 1-go kółka opuścić, 6 śł. w najbliższe 6 ocz., 2 śł. w najbliższe ocz., 3 pow. ocz., 2 śł. w następne ocz., 8 śł. w najbliższe 8 ocz., 1 pow. ocz., 1 śc. ocz. w 3 z pierwszych 3 pow. o. tej kolei.—2 kolej: * 7 śc. ocz. w najbliższe 7 ocz., 2 śc. ocz., pomiędzy niemi 7 pow. ocz. w następne ocz., 2 ścis. ocz. w następne 2 ocz., 12 śłup. pomiędzy 3 i 4, 6 i 7, 9 i 10 pikot (7 pow. o. 1 śc. lań. o.) w następne 3 pow. o., 2 śc. o. w najbliż. 2 o., 2 śc. o., pomiędzy niemi 7 pow. o. w następne o., 8 śc. ocz. w najbliższe 8 o., 4 śc. o. pomiędzy środkowymi 7 pow. o. w najbliższe ocz., od * powtórzyć 2 razy, lecz przy 1-em powtórzeniu, zamiast ost. 7 śc. o. tylko 5 śc. o., a przy 2-m powtórz. zamiast. pierw. 7 tylko 5 śc. o. w końcu 1 śc. lań. o. w 1 śc. o. tej kolei; nitkę zakończyć i obciąć. Każdą następną kolej wykonać w podobny sposób, lecz należy uważać, aby łączyć z sobą właściwe pikoty figur. Obrócić gwiazdki jak następuje: 1 kolej: 1 śc. o. w pikot (pomiędzy 9 i 10 śł. 1-go powtórzenia najbliższej figury, * 4 razy naprzemian: 4 pow. o., 1 ścis. o. w następny pikot, poczem 4 pow. o., 2 podw. śł., których górne żyłki należy przerobić razem w o., łączące tę i następną figurę, 4 pow. o., 1 śc. o. w następny pikot, od * powtórzyć.—2 kolej: 1 śc. o. w każde o. Dolny brzeg koronki obrócić 3 kolejami, 1 śc. o. w pikot pomiędzy 9 i 10 śł. 2-go powtórzenia najbliższej figury, 3 pow. o., 1 śc. o. w najbliższy pikot., 3 razy naprzemian 5 pow. o., 1 śc. o. w najbl. pikot., 11 pow. o. 1 śc. o. w następny pikot, 8 pow. o. połączyć z 7-m o. poprzednich 11 pow. o., 8 pow. o. połączyć z 4-m przedostatnich 8 pow. o., 4 razy naprzemian: 5 pow. o., 1 śc. o. w najbliższy pikot, 3 pow. o., 1 śc. o. w o. następnego pikotu, z którym najbliższa figura połączona, 3 pow. o., 1 śc. o. w następny pikot, od * powtórzyć.—4 kolej: 4 śc. o. w najbliższe 4 o., * 2 śc. o., pomiędzy niemi 5 pow. o. w najbliższe o., + 5 śc. o. w następne 5 o., 2 śc. o., pomiędzy niemi 5 pow. o. w najbliższe o., 3 śc. o. w następne 3 o., 9 pow. o. połączyć ze środkowym z 5 śc. o., 18 śc. o., pomiędzy 3 i 4, 6 i 7, 9 i 10, 12 i 13, 15 i 16 po 5 śc. o. w poprzednie 9 pow. o., 2 śc. o. w następne 2 o. poprzedniej kolei, 2 śc. ocz., pomiędzy niemi 5 pow. o. w następne o., od + 4 razy powtórzyć, poczem 7 śc. o. w najbliższe 7 o., od * powtórzyć.

Poduszka do męskiego pokoju (płaskim ścięciem i krzyżową robotą).

Rycina Nr 6.

Poduszka 52 c. długa 43 c. szer. pokryta z wierzchniej strony szlakami haftowanymi na kanwie „kuba“ w połączeniu z pluszem, spód zaś podszyty atłasem miedzianego koloru, obszyta wokół sznurem jedwabnym, oraz ozdobiona wełnianymi bombelkami. Haft wykonać na szlaku 15-to-cent. kanwy żółtawej, oraz na 2 wyższych, mających po 7 cen. szer. koloru oliwkowego, z brzeżkiem przerabianym złożem, różnego koloru włóczką, ścięciem płaskim i krzyżowym.

Szlak do poduszki (płaskim ścięciem i krzyżową robotą).

Rycina Nr 7.

Ściegi krzyżkowe otaczające deseń, wykonać należy włóczką bordo, tło figur: szafirową, oliwkową, brązową i miedzianego koloru włóczką różnych odciennici ścięciem płaskim. Wazkie szlaczki wykonać podług ryciny Nr 5, następnie połączyć je krzyżykami brązową włóczką. Objąć haft z 2 stron pluszem na 7 cent. z każdej strony, podszyć atłasem, obszyć sznurem oraz bombelkami z włóczki oliwkowego i miedzianego koloru.

Suknia z szewiotu.

Rycina Nr 8 i 11.

Spódnica z białej alpagi, mająca 200 c. obwodu, 104 c. długości z przodu 111 z tyłu, obszyta w dole na 10 c. materiałem, zaopatrzona w kulisy do stałek na 30 i 60 c. od góry, stalki zaś poniżej nieco jedna 30 druga 36 cent. Wierzchnia spódnica z białego szewiotu w szafirowy deseń, 300 c. szer., z przodu lekko udrapowana, z tyłu ułożona w dwie potrójne kontrafaldy. Na pasku spódnicy upięta jest szarfa z białego szewiotu 30 c. szer. 72 c. dług. mająca, brzegi jej sfaldowane przykryte są końcami na 80 c. dług. a 52 c. szer. zakończonymi frendzlą, kokardy szarfy mają 30 c. dług. 3 c. szer. Na podszewce

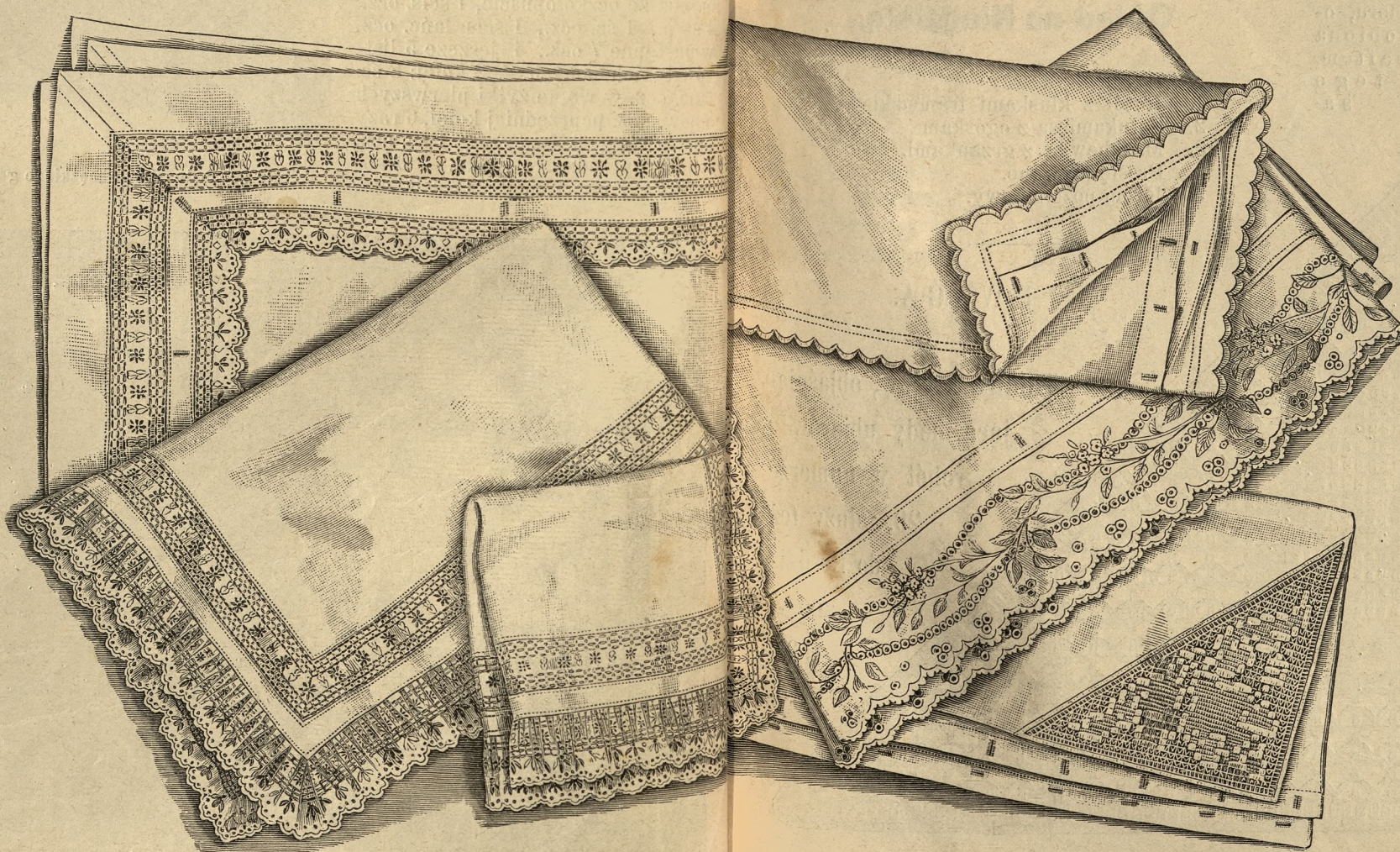


Nr 8. Suknia z szewiotu. (Plecy do Nr 11).



Nr 10. Suknia z „diagonalu“. (Przód do Nr 9). Op. pierw. str. tabl.

Nr 11. Suknia z szewiotu. (Przód do Nr 8).



Nr 12—17. Powłóczki i kapy do kołder.

przodu stanika z prawej strony przyszyć napierśnik zmarszczony w górze i u dołu, na którym zapinają się ufałdowane przody z materiału. Plecy zmarszczyć w pasie, kołnierzyk z tyłu gładki, z przodu ułożony w faldki. Rękawy bufiaste z białego materiału zakończone mankietami z szewiotu w deseń.

Poszewki i kapy na kołdrę.

Rycina Nr 12—17.

Ryc. Nr 12 przedstawia kapę 210 c. długą 150 c. szer. i opatrzoną wykładem na 27 c. szer., na której należy dodać około 10 c. materiału, resztę stanowi koronkowa wstawka, koronka, oraz listewka z dziurkami.

Rycina Nr 13 i 14. Odpowiednie do tej kapy poszewki, obszyte w górze i z boków wstawką, z pod której materiał wyciąć należy, oraz zmarszczonemi szlaczkami, wystającymi na 3 cent. poza poszewką. Obie poszewki zapinają się z boku. Poszewka Nr 13 jest na 100 c. szer. 82 c. wys. Rycina Nr 14, 65 c. szer. 47 c. wysoka.

Rycina Nr 15 przedstawia poszewkę obdzierganą i z obrębem dwa razy przestębnowanym.

Rycina Nr 16, jestto prześcieradło 247 c. długie 176 c. szer., obszyte w górze szerokim haftem, w dole zakończone obrębem.

Ryc. Nr 17 przedstawia poszewkę 89 c. szer. 87 długą ozdobioną narożnikami szydełkową robotą.

Koszula damska

Rycina Nr 18. (Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 36).

Przydłużę fig. do stosownej długości i skrajac z płótna dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu przedniej części; koszula powinna mieć 100 cent. dług., 192 cent. w dolnym obwodzie. Zeszyć stany koszuli, zmarszczyć górny brzeg podług znaków, obszyć hafcikiem i listewką. Koszula zapina się na ramieniu.

Koszula damska.

Rycina Nr 19. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 34—35).

Skrajac z cienkiego madapolamu po przedłużeniu według strzałek fig. 34 i 35 po jednej części złożonej wzdłuż środka.

(Wzór ma 101 cent. dług. z przodu od wycięcia a 205 cent. w dolnym obwodzie). Zeszyć części, obszyć górny brzeg i rękawy listewką, następnie ozdobić hafcikiem, który z przodu powinien mieć dziurki do przewleknięcia wstążeczki.

Koszula damska.

Rycina Nr 20. (Krój pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 37).

Przydłużę fig. 37 na 93 cent. długości, tak aby miała 200 cent. w dolnym obwodzie, skrajac z płótna dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturów przedniej części. Zszyć stan, zmarszczyć w górze z przodu od gwiazdki do gwiazdki na 9 centim., z tyłu od środka do gwiazdki na 23 cent., obszyć hafcikiem i listewką.

Koszula damska.

Rycina Nr 22. (Krój pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 38).

Przydłużę fig. 38 na 99 cent., tak aby obwód dolny wynosił 202 cent., skrajac z płótna z uwzględnieniem przedniej połowy, po dwie części złożone wzdłuż środka. Zmarszczyć przednią połowę od krzyżka do krzyżka na 10½ c., obszyć wstawką na 2½ cent. i połączyć tylną część koszuli na ramionach z górnym brzeżkiem wstawki, zmarszczyć tylną część od środka do gwiazdki na 16 cent., ozdobić górny brzeg oraz rękawy listewką i hafcikiem.

Koszula damska.

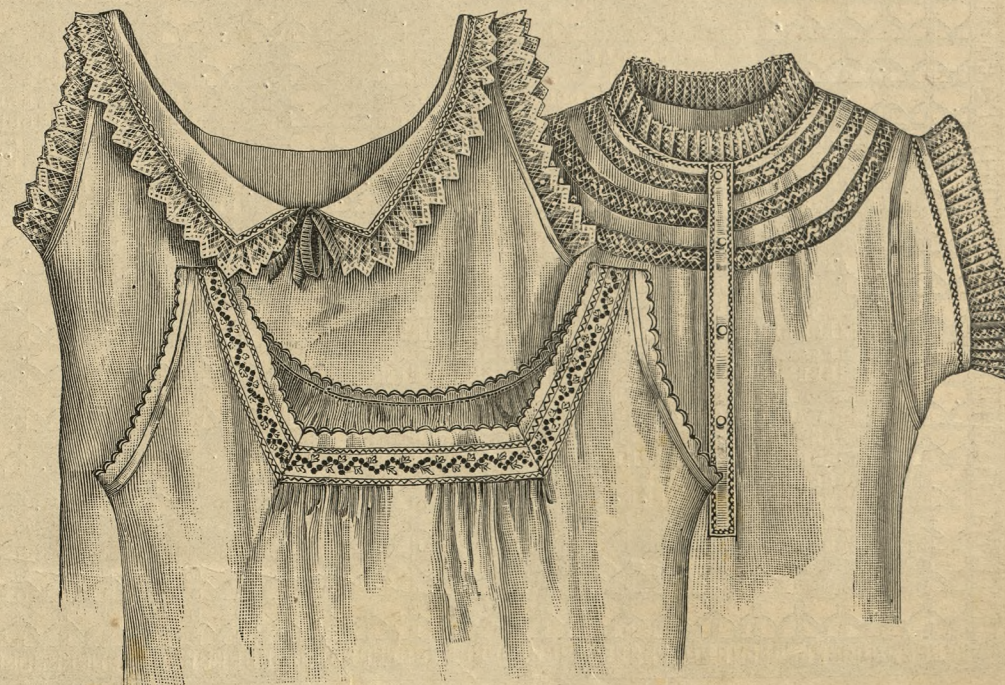
Rycina Nr 23. (Krój pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 38).

Koszula pod szyję z rozporkiem na 40 cent. długim, ubrana wstawkami i listewką przyszytą ścięciem rybiej łuszczyki. Krótkie rękawy oraz wykroj szyć obszyty ufałdowaną koronką.

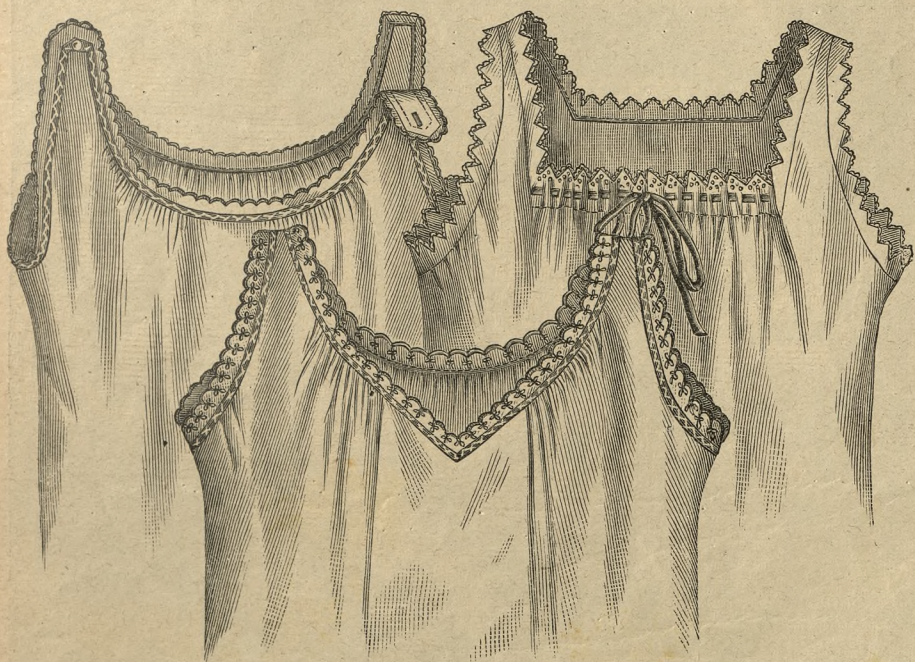
Narożnik do poszewki (szydełkowa robota).

Rycina Nr 25.

Na założeniu 240 oczek wykonać krętą bawełną tam i napowrót. — 1 kolej pierwszego rzędu: najbliższe 8 oczek opuścić, 1 ścisłe oczko w następne oczko, 3 pow. oczka, 1 słupek w 3 z rzędu oczko, na jedną kratkę tła, 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w trzecie z rzędu ocz., 3 pow. ocz., 1 śłup. w trzecie z rzędu ocz., jeszcze 37 razy to samo. — Drugą kolej każdego rzędu, jak wskazuje rycina, wykonać tym samym sposobem, lecz nad każdą kratką tła należy wykonać po 5 pow. ocz. pojedyncze słupki wykonać w obydwóch żyłkach, resztę słupków w przednią żyłkę odpowiedniego oczka, prócz tego przy rozpoczęciu kolei zamiast 1 słupka 3 pow. ocz., w końcu zaś z ukośnej strony zamiast 5 pow. ocz. 1 śłup., 2 pow. ocz., 1 podw. śłup. w ósme z rzędu oczko; o tej kolei już nie będziemy wspominać, opisując przy następnych rzędach

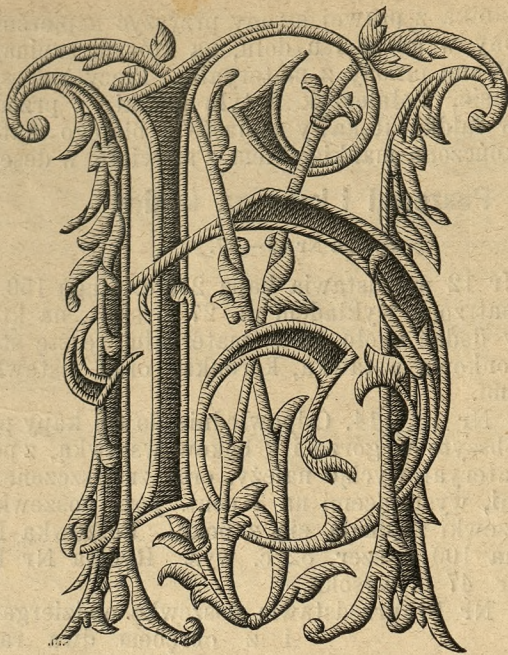


Nr 21—23. Damskie ko szule. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 38).



Nr 18—20. Damskie koszule. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI—VIII, fig. 34—37).

tylko pierwszą kolej. — 2 rząd: 3 pow. ocz., 1 słup. w najbliższy słup., 8 kratek tła, 18 słup. (każdy słup. w każde oczko) 16 kratek tła, 12 słupków, 5 kratek tła, 18 słup., 1 kratka. — 3 rząd: 3 pow. ocz., 1 słup. w najbliższy słup. (każdy następny rząd zaczyna się w ten sam sposób: 6 kratek, 12 słup., 1 pow. ocz., 6 słup., między każdym 1 pow. ocz. co drugie oczko), 6 słup., 4 kratki, 30 słup., 5 kratek, 6 słup., 1 pow. ocz., 3 słup., między każdym 1 pow. ocz., 6 słup., 1 kratka, 24 słup., 1 pow. ocz., 6 słupków, po 1 pow. ocz. pomiędzy niemi, 6 słup., 1 kratka. — 4 rząd: 7 kratek, 6 słup., 1 pow. ocz., 6 razy słup. i 1 pow. ocz., 6 słup., 2 krat., 12 słup., 1 kr., 6 słup., 1 krat., 12 słup., 3 krat., 6 słup., 1 pow. ocz., 6 razy słup. i 1 pow. ocz., 12 słup., 1 pow. ocz., 6 słup. pomiędzy niemi po 1 pow. oczko, 6 słup., 1 pow. ocz., 9 razy po słup. i 1 pow. oczko, 6 słup., 1 kratka. — 5 rząd: 7 krat., 6 słup., 1 pow. ocz., 3 razy po słup. i 1 pow. ocz., 18 słup., 5 razy naprzemian 1 kratka, 6 słup., potem $\frac{1}{2}$ pow. ocz., 3 razy po słup., 1 pow. ocz., 6 słup., od $\frac{1}{2}$ raz powtórzyć, potem 1 pow. ocz., 6 razy po słup., 1 pow. ocz., 6 słup., 1 pow. ocz., 9 razy po słup. i 1 pow. ocz. 6 słup., 2 kratki. W ten sposób wykonywać następne rzędy, które wyraźnie przedstawia ryc. Nr 25, doszedłszy do 32 rzędu, widzimy, że takowy składa się z 8 tylko kratek tła; następuje jeszcze 7 rzędów, z których każdy o 1 kratkę się zwęża. Po skończeniu ostatniego rzędu, wykonać jeszcze 3 pow. ocz., 1 słup. w 4-te z rzędu oczko. Obrócić narożnik 2 kolejami, z



Nr 24. Znak haftowany.

których pierwsza kolej ciągle naprzemian: 1 słup. w drugie z rzędu oczko, 1 pow. ocz., z uwzględnieniem samych narożników, w końcu 1 ścis. ocz. w 3 z 4 pierwszych pow. ocz., — ostatnia kolej: ciągle 1 ścis. oczko w każde oczko.

Ubranie dla chłopczyka.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 31.

Ubranie z materiału „jersay“ szafirowego, z kołnierzem marynarskim w pasy białe i szafirowe. Napierśnik szafirowy ze szlaczkiem białym, także mankiety. Duży słomiany marynarski kapelusz z odstającym rondem, którego brzeg ze słomki lub materiału szafirowego.

Suknia spacerowa.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 31.

Suknia ta z ostrej wełny ciemnego koloru, ozdobiona haftem, tego sa-

meo koloru co suknia, lecz w kilku cieniach. Stanik krótki bez zaszewek, materiał na przodach stanika tworzy 2 fałdy, na ramionach także lekko zmarszczony. Spódnica, której 2 przednie fałdy stanowią dalszy ciąg fałd stanika, z tyłu gładko upięta. Haft stanika zastosowany do formy jego, połączony jest w samym środku z szerokim haftem, zdobiącym przód sukni. Rękawy krótkie, bufiaste, tworzą na ramionach zmarszczoną główkę. Rękawiczki długie duńskie żółtawe. Kapelusz słomiany, podszyty gazą jasną w tym samym odcieniu co suknia i ubrany różami herbacianymi. Poszewka fantazyjna w deseń na tle koloru zastosowanego do sukni.

Bluzka marynarska dla młodej panienki.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 31.

Bluzka z białego szewiotu, ułożona z przodu w głębokie fałdy, u dołu zmarszczona i wszyta w pasek podwójny 70 cent. szeroki, przez który należy przewlec elastykę. Kołnierzyk, napierśnik i mankiety są z szafirowego szewiotu.

Przepisy gospodarskie.

Ogórki na zimową mizeryę.

W końcu lipca lub początkach sierpnia wybrać zielone ale dojrzałe ogórki, obrać starannie, zostawiając ogonek z tej strony, gdzie ogórek rośnie, posolić bardzo obficie, ale to bardzo, tak, iżby się to zawiele zdawało, niepodobna bowiem stanowczej proporcji dać, gdyż rozmaita jest wielkość ogórków, zawsze można rachować funt soli na pół kopy średnich ogórków, powtarzam, lepiej za dużo soli jak za mało, ułożyć je w kamiennym garnku przesypując solą, na wierzch jeszcze przysypać warstwę soli, zawiązać papierem albuminowym i wynieść do chłodnej piwnicy. Biorąc do użytku wymoczyć najmniej 6 godzin, zmieniając kilkakrotnie wodę, póki się nie okaże niesłona. Wtedy posadkować cienko i jak zwykle, zaprawić octem, oliwą i pieprzem, naturalnie nie używając już soli. Będzie jak świeże.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z kluskami francuzkiemi.
2. Sztukamięsa z ogórkami.
3. Marchewka z grzankami.
4. Prosię pieczone.
5. Krem poziomkowy.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca mody ubiorów i robót w numerze 29, służy też do Nr dzisiejsz. i 31.

Nr 25. Narożnik do poszewki (szydełkowa robota do Nr 17).